

# VariArt

pismo kulturalno-literackie  
NR 03 / 2021 (52)



[www.wbp.olsztyn.pl](http://www.wbp.olsztyn.pl)



STANISŁAW CZACHOROWSKI

## Przeklęta panna rosnąca przy drodze

Szlaki wyznaczone są przez kamienie milowe, turystyczne znaki, drogowskazy, tabliczki z nazwami miejscowości oraz... trupy. A także przez stojące przy drogach przeklęte panny.

Droga, szlak czy gościniec wiążą się z wędrówaniem, przemieszczaniem, czasem odkrywaniem nowego. Drogi mają dwa wymiary: pierwszy i oczywisty to kierunek podróży, tak jak biegnie droga. Drugi to poprzeczny, bardziej widoczny w tym, co leży przy drodze. Na przykład martwe zwierzęta, duże i małe, potrącone przez szybko przejeżdżające samochody. Padlina przyciąga padlinozerców... którzy powiększają tylko liczbę przydrożnych trupów. Drogi to także bariery trudne do przebycia. Jeśli wędrujemy w poprzek, w innym kierunku niż ten wyznaczony.

Dla nas szlak coś łączy, dla wielu innych istot jest śmiertelnością barierą. W naszej rzeczywistości droga łączy dwa odległe punkty – początek i koniec (lub tylko etap) naszej wędrówki. W świecie zwierząt droga jest barierą, która uniemożliwia wędrówki i przemieszczanie się, utrudnia dispersję. Szybko jadące samochody są zabójcze dla ślimaków, żab, padalców, jeży, a nawet dużych ssaków. Nie mówiąc o mnóstwie małych ptaków czy owadów. Te ostatnie na dodatek zwabiane są w nocy światłami reflektorów. Zostają tylko ślady na szybie lub karoserii... i liczne owadzie zwłoki usiane wzdłuż dróg. Im szersza droga, tym większa bariera. Przejść trudno, można jedynie przefrunąć. Na dodatek drogi szybkiego ruchu ogrodzone są siatkami, by duże zwierzęta nie wybiegały na jezdnię. Nie chcemy zagrożeń dla siebie. Zwierzęta są zamknięte niczym w ogrodzonej klatce. A może w obozie jenieckim? Gdzieś tam tylko zbudowaliśmy dla nich bezkolizyjne przejścia.

Nas drogi łączą, ale wiele zwierząt dzieli, izolują w małych obszarach niczym ogrodzonych rezerwatów czy wyspach. Tak więc droga ma dwa wymiary, podłużny, który łączy i poprzeczny, który dzieli. Zależy jak spojrzeć.

A co robi przeklęta panna przy drodze? Rośnie. To dawna, lokalna, mazurska nazwa niebiesko kwitnącej rośliny, cykorii podróznik. Panna stojąca przy drodze? Musi być przeklęta, wygnana, stoi przy drodze niczym współczesna „grzybiarka”, tirówka. Nazwy lokalne roślin i zwierząt niosą ze sobą dużo niezwykłej i częściowo zapomnianej historii. Czy potrafimy je odczytać w czasie pielgrzymek czy turystycznych wędrówek drogami, szlakami i bezdrożami?

Żeby lepiej zobaczyć to, co przy drodze, trzeba iść pieszo. Jadąc samochodem niewiele zobaczymy – tylko migające krajobrazy. Dlatego idź pieszo. Nie po wszystkich oczywiście drogach się da. Czasem brakuje nawet pobocza, nie mówiąc o chodniku. Więc wybierz te mniej uczęszczane.

Spójrz pod nogi, przyjrzyj się uważnie, idąc polną drogą lub szutrową. Tu ruch pojazdów jest niewielki. Ale jest. Zobaczą resztki gruzu, wypełniającego dołki i koleiny (by lepiej się jechało). Zobaczą przeszłość, resztki cegieł, dachówek,

eternitu. Czyli resztki dawnych i wyburzonych zabudowań. Już niepotrzebne, stare, zapomniane. A między nimi fragmenty ceramiki, kawałki talerzy, kubków, filiżanek. Kiedyś w centrum uwagi, na stole. Jedne pamiętają jeszcze czasy przedwojenne, inne są zupełnie nowe. Także kawałki plastiku i sprzętów gospodarstwa domowego. Wyrzucone i... przeklęte?

A potem spójrz na pobocze, co tam rośnie. Jeśli nie wykosili, to zobaczysz wiele roślin, tak zwanych chwastów. Przy drodze znalazły schronienie, bo na polach herbicydy, orka i tępienie na wszelkie sposoby. Kwitnące ziołami miniatki mają szansę przetrwać przy drodze. Niczym przeklęta panna, wygnana ze wsi za jakieś przewinienia. A może to nie jej wina? Może jest tylko ofiarą gwałtu lub molestowania? Łatwiej jednak wygnać „przeklętą pannę” niż winowajcę. Gorzka cykorii podróznik, do której czasem przylatuje motyl szlaczkoń. O ile nie zginie pod kołami lub na masce przejeżdżających samochodów.



Rys. Katarzyna Walendzik

**02 KIJ W MROWISKO**  
STANISŁAW CZACHOROWSKI: Przeklęta panna rosnąca przy drodze

**04 WYWIAD**  
Z PROFESOR WIOLETTĄ JASKÓLSKĄ rozmawia MONIKA STĘPIEŃ  
Ludzie odpowiadają za kształt otaczającej ich przestrzeni

**06 DEBIUT**  
ARTUR KOWALSKI: Dziennik holenderski

**08 PROZA**  
WIKTOR MAREK LEYK: Dzień z życia Marka L

**10 DEBIUT**  
MŁODZIEŻOWY DYSKUSYJNY KLUB KSIĄŻKI W OSTRÓDZIE

**12 POEZJA**  
TAMARA BOŁDAK-JANOWSKA I TOLO SZALEŃCZYK

**14 NA SZLAKU**  
GRZEGORZ WESOŁOWSKI: Wejdz na utarty szlak

**15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA**  
BOGDAN WOJCIECH BARTKOWSKI: z cyklu Falowanie

**16 GALERIA**  
BOGDAN WOJCIECH BARTKOWSKI: Falowanie

**18 KRÓTKA FORMA**  
ANNA RAU I IWONA BOLINSKA-WALENDZIK: Olsztyński łapacz snów

**19 PROZA**  
MICHAŁ OSTROWSKI: W poszukiwaniu sensu...  
O małych wielkich podróżach z literaturą w roli (prawie!) głównej

**20 REGION**  
KATARZYNA KUJAWA:  
Święta Warmia: sanktuaria, kościoły, kapliczki i...?

**21 INICJATYWA**  
KAROLINA LEWANDOWSKA: Erasmus way

**22 REGION**  
ANNA RAU: Podróż między zapomnieniami

**23 HISTORIA**  
AGNIESZKA WADOWSKA: Prosta droga do pięknego życia

**26 REGION**  
JERZY BUCZYŃSKI na gwargę warmińską przetłumaczył EDWARD CYFUS:  
Legenda o dębach w Niedźwiedziu

**28 PROZA**  
ANNA MAZIUK: Wilcze szlaki

**29 FILM**  
KATARZYNA GUZEWICZ: Filmowe podróże do celu

**30 ANKIETA**  
ANNA RAU: 15/30

**31 PROZA**  
OLGA ZMIJEWSKA: 20-20

Przez Warmię, Mazury i Powiśle przechodzi jeden z najważniejszych szlaków kulturowych Europy – szlak św. Jakuba. Przez nasz region przebiega także inny, jeszcze starszy – bursztynowy, którego walutą było złoto Słowian. Każdy krok zrobiony za próg to już droga, która nie do końca jest pewna i prosta. A wędrować można również i w przestrzeni synaptycznej po bezkresach naszej wyobraźni i kresach pamięci.

Szlak, droga, wędrowanie... Czy dotyczy tylko ludzi?

Oczywiście nie. Jak ludzkie działania wpływają na życie zwierząt uzmysławiają Stanisław Czachorowski oraz Anna Maziuk. Na przeciwnym biegunie meandrowania variartowego jest *Prosta droga do pięknego życia* opowiedziana przez Agnieszkę Wadowską.

W numerze wędrujemy przez Warmię z Anną Rau oraz Katarzyną Kujawą. Zakręty językowe przemierzamy razem z Jerzym Buczyńskim, Tamarą Bołdak-Janowską i Michałem Ostrowskim. Falujemy poprzez abstrakcyjne krajobrazy malowane ręką Bogdana Bartkowskiego. Wszystko płynie, przenika się, jak w *Erasmus way* Karoliny Lewandowskiej czy *Filmowych podróżach do celu* Katarzyny Guzewicz.

Redakcja najchętniej powędrowałaby na przykład w góry albo... pod pierzynkę z nowym numerem pisma.

VariArt  
WARMIA MAZURY

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483  
Nr 03/2021 (52)

Wydawca:  
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie  
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:  
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI  
www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztyntart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:  
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Karolina Lewandowska,  
Urszula Maciąg, Anna Rau, Anita Romulewicz, Monika Stępień  
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okładka przód: Karolina Lewandowska, skład: Karolina Lewandowska  
Okładka tył: Tomek Ratajczak Flyingfish Letterpress

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn  
Zrealizowano przy współudziale finansowym  
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z PROFESOR WIOLETTĄ JASKÓLSKĄ rozmawia MONIKA STĘPIEŃ

## Ludzie odpowiadają za kształt otaczającej ich przestrzeni

### Jakiego rodzaju sztuki jest wciąż za mało?

Dobrej sztuki zawsze będzie za mało. A tak na poważnie musi być równowaga w przestrzeni kulturowej, więc słabsza sztuka również jest potrzebna. Choćby po to, żeby mieć odniesienie, porównanie do sztuki wybitnej. Takiej, która obroni się sama po latach. Pod pojęciem sztuki kryje się tak wielka różnorodność działań, że czasem być może za dużo jest tam tego, co sztuką wcale nie jest. Raczej mamy do czynienia z nadmiarem niż niedomiarem, a to powoduje, że trudno jest wybrać, znaleźć to, co wartościowe i czemu warto poświęcać uwagę.

### Czy w życiu, jak w obrazach, stara się Pani mieć szeroką perspektywę? Krajobraz kulturowy regionu oglądać z lotu ptaka?

Ludzie odpowiadają za kształt otaczającej ich przestrzeni – człowiek z natury jest twórczy, myślę, że można zaryzykować stwierdzenie, że to jego podstawowa zaleta. Uzewnętrznionym śladem obecności anonimowych twórców są na przykład budynki, które stworzył, zaprojektował, wybudował i zasiedla, także, człowiek. Jakość przestrzeni jest jednocześnie portretem człowieka żyjącego w niej i odzwierciedleniem jakości jego życia. Moje doświadczenia pracy w samorządzie pozwalają mi spojrzeć szerzej na proces rozwoju miasta. A dla artystki z naturalną zdolnością do projektowania, wyobraźnią przestrzenną, malowanie szerokich panoram miasta jest dla mnie naturalnym środowiskiem, w którym czuję się najlepiej, niemalże jak architekt miejski.

Doceniam możliwość, którą daje mi kierowanie jedną z największych instytucji kulturalnych w województwie, dostępu do – czy jak Pani mówi oglądania z lotu ptaka – wszelkiego rodzaju aktywności w obszarze kultury w naszym regionie. Mam nadzieję wyciągać z tego obrazu trafne wnioski i podejmować decyzje, które mogą wspierać harmonijny rozwój kulturalny województwa.

### Weduty na Pani obrazach są puste, wydają się ciche. Czy potrzebuje Pani takich przestrzeni wokół siebie?

W moich obrazach miasta są jakby wymarłe, pozbawione sztafażu, przez co odrealnione, wyjęte z odległego, dzieciennego wspomnienia atmosfery prowincjonalnego miasteczka z pustymi ulicami. Architekt, projektant, stylistka, budowniczy – obecność tego anonimowego twórcy jest w moich obrazach nieustająca. Mówię o nim, nie anaonczając sylwetki człowieka. Nie ma w mojej przestrzeni miejskiej człowieka, ale tylko pozornie. Jego uzewnętrznionym śladem są właśnie budynki. Moje malarstwo jest próbą badania tkanki miejskiej, mierzeniem siły roli, jaką odgrywa w ludzkim życiu. Zrodziło się z miłości do miasta. Nie wiem, czy potrzebuję pustki wokół siebie, raczej wybieram miasto tętniące życiem.

### Pani prace są jednocześnie mocne, konstrukcje i cienie zdecydowane. Czy zatem w świecie sztuki, jako osoba, która go kreuje/decyduje o rozwoju CEiK-u, także szuka Pani takich zdecydowanych do działania postaw?

Odkąd pamiętam, malarstwo nie było dla mnie zajęciem, tylko stylem życia. Po studiach nie porzuciłam malarstwa na rzecz pracy w wykonywanym zawodzie nauczycielki, jak to często bywa. Pamiętam siebie wtedy, co dzień malująca, przez wiele godzin przy sztaludzie na stojąco. Ciężko zapracowałam na swój rozwój i tytuły naukowe, które uzyskałam w kolejnych latach. W tym roku obchodzę już 25-lecie pracy na uczelni. W CEiK-u pracuję zaledwie od roku, ale przedtem pięć lat pracowałam na stanowisku dyrektora mniejszej placówki kultury w pobliskim Bisztyнку. To doświadczenie pozwoliło mi zdobyć umiejętności pracy na stanowisku dyrektora, ale też dało mi wiedzę na temat grup społecznych mieszkających właśnie w takich małych miejscowościach. Dodam również, że mam ogromne doświadczenie w pracy społecznej na rzecz rozwoju kultury w Lidzbarku Warmińskim – mieście, w którym się urodziłam i mieszkam na co dzień. Mieszkańcy miasta w wyborach bezpośrednich obdarzyli mnie zaufaniem, za co dziękuję bardzo, ponieważ dzięki temu pełniłam przez trzy kadencje funkcję wiceprzewodniczącej Rady Miasta. W tym czasie zapadały najważniejsze decyzje długofalowego rozwoju miasta, których byłam współautorką, a które dziś odbijają się pozytywnym echem w województwie warmińsko-mazurskim. Obserwowałam, jak moje pomysły, inspiracje czy intuicyjne działania przeradzały się w realne inwestycje miejskie.

### Co w artyście zmienia/niweluje akademizm?

Artysta musi sam sobie określić drogę twórczą. Akademizm pozwala „ustawić obraz”, nabyć umiejętności warsztatowych, dostarczyć podstaw malarskich, ale nie blokuje dalszych poszukiwań. Jestem o tym przekonana.

### W jaki sposób inspirują Panią bliski Lidzbark i odległa Lizbona? Miejsce tworzenia ma znaczenie?

Miejsce ma znaczenie, ponieważ łączą się z nim określone emocje. Podróże, plenery artystyczne mają ogromny wpływ na rozwój świadomości wzrokowej.

### Czy artyście tworzy się łatwiej przynależąc do grup/stowarzyszeń czy funkcjonując samemu? Po co nam zrzeszenia twórcze/instytucje?

Artysta tworzy w zaciszu domu czy pracowni. Instytucja nie bierze udziału w procesie twórczym, jednak artyści łączą się w grupy, kiedy myślą podobnie, akceptują siebie, ze zwykłej chęci poczucia bezpieczeństwa czy reprezentowania własnych interesów. A w grupie twórczej lub zrzeszeniu łatwiej jest o wypracowanie pewnych poglądów. Instytucje kulturalne powinny wykazywać wrażliwość na specyfikę samotnej w gruncie rzeczy pracy artystów i wspierać tych ludzi, którzy często nie potrafią być dobrymi menedżerami własnej twórczości.

### Jak połączyć tzw. sztukę wysoką i estradę? A może to te same przestrzenie?

Ciekawe pytanie, Pani Redaktor! Estrada to miejsce, gdzie może funkcjonować sztuka wysoka i niska. Miejsce aktywności artystycznej nie definiuje jej jakości. Uważam, że wszystko zależy od wrażliwości odbiorcy. Kiedyś te rozgraniczenia były bardzo wyraźne, ale zmiany następują pod wpływem artystów, to oni właśnie przekraczają granice, wprowadzają ferment intelektualny i powodują „modyfikacje” w naszych głowach. Dziś te różne jakości z powodzeniem funkcjonują na jednej płaszczyźnie porozumienia. Na wielkich estradach pojawia się coraz częściej produkcja na bardzo wysokim poziomie, a galerie sztuki tętnią życiem tylko podczas wernisaży. Wspaniałe obrazy możemy często podziwiać we wnętrzach opuszczonych magazynów czy kościołów albo na dworcach.

### Co w kwestii podejścia do młodych twórców dała Pani praca na UWM?

Kontakt z młodymi ludźmi w środowisku uczelni polega na wymianie – uczyliśmy się od siebie nawzajem. To pozwala zachować duchową młodość i świeżość spojrzenia. Człowiek, który opuszcza uczelnię, stoi przed wyzwaniem rozpoczęcia samodzielnej drogi twórczej, jest w bardzo trudnej sytuacji i wymaga wsparcia. Staram się dbać o moich absolwentów.

### Miasta na Pani obrazach są pozbawione detali. Jak powinien wyglądać zatem kulturalny Olsztyn? Jak z obrazka?

Tego nie wiem, a nawet myślę, że odpowiedzi nie ma, bo nie jest możliwa. Jeśli jednak jest to pytanie o kierunek rozumienia, to odpowiedź, jakiej udzielię, może być taka: nie ma jednego postrzegania kultury, bo nie ma jednej uwspółcześnionej kultury. Mogę zadawać pytania i szukać odpowiedzi do konkretnych realizacji.

Miasto narasta w czasie. Jego wizerunek jest efektem przemian społecznych, politycznych, estetycznych – czyli zwyczajnie aktualnej mody. Będę wspierać wszystkie działania twórcze, kulturalne, które składają się na szczególną atmosferę Olsztyna.

### Jakie wyzwania stawiają przed twórcami ich małe miasta? Po co artyście polityka i politykowi artysta? Jak artystka odnajduje się po „drugiej stronie” sztuki, tzn. na stanowisku dyrektorki?

Artysta to przede wszystkim osoba z poszerzoną możliwością widzenia i wyciągania wniosków z tych spostrzeżeń. Polityk również powinien posiadać takie umiejętności. Artyzm w tym wypadku może przekładać się na swego rodzaju idealizm: poszukiwanie jak najbardziej trafnej konstrukcji, organizacji świata na drodze wnikliwej obserwacji. Perfekcyjne zakomponowanie życia społecznego nie jest możliwe, ale już na przykład organizacja życia społecznego poprzez popularyzację kultury i sztuki to rodzaj istotnej misji, która może kompensować niedomiary temperamentu sztuki w niewielkich miejscowościach. To przecież ważne, by móc utożsamiać się z miejscem, w którym żyjemy. Przestrzeń publiczna wydaje się doskonałym środowiskiem do różnego rodzaju kulturowych działań – tu mogą spotkać się w atmosferze równouprawnienia artyści, mieszkańcy wielkich i niewielkich miast. Takie spotkania inspirują, ożywiają – to rodzaj idealizmu, którego często w polityce



Fot. z archiwum artystki

już brak. Wychodzę z założenia, że nawet małe inicjatywy kulturalne budują tkankę wrażliwości i intelektu, które są niezbędne do satysfakcjonującej komunikacji. U podstaw rozwoju miasta czy innej mniejszej struktury leży właśnie udana komunikacja między ludźmi odpowiadającymi za budżet. Pierwiastek artystyczny jest tu konieczny – to synonim wyobraźni przestrzennej i szerokiej świadomości historii kultury. Istotne jest, by środki, którymi się posługujemy, służyły harmonijnemu, zrównoważonemu rozwojowi wspólnej przestrzeni. Miasta to nic innego jak horyzonty architektoniczne stworzone przez człowieka na przestrzeni czasu, nawarstwiające się, podlegające powolnej przemianie organicznej panoramy ułożone na powierzchni ziemi według obliczonych planów. Miasto to żywy organizm, mający swoje tempo, rytm i charakter kształtowany przez instytucjonalne decyzje. Dlatego twórca działający w instytucji to udane połączenie.

### W jaki sposób cyfryzacja wpływa na odbiór i kreowanie sztuki? Czy lepiej jej w galerii czy na Instagramie?

Pandemia przyspieszyła tylko proces cyfryzacji naszego codziennego życia. Upublicznianie zdjęć prac malarskich jest najprostszą i najkrótszą formą wystawienniczą. Artyści chętnie korzystają z takiej drogi i nie ma się czemu dziwić. Od wieków artyści byli podziwiani, naśladowani i „podglądani”. Dziś ten rodzaj ekspozycji przejmują media społecznościowe. Czyli najprostsza, charakterystyczna dla naszych czasów forma dotarcia do społeczeństwa. Skrócił się dystans między nami, czas nabrał innego wymiaru. Ja sama jestem oglądana przez osoby, które mnie naśladowują, powielają moje pomysły, inspirują się nimi od wielu lat, kreują rzeczywistość podobnie do mnie i nie ukrywam, że cieszy mnie to bardzo, ponieważ czuję, że mam cichych naśladowców. Plusem tych realiów jest trafienie do odbiorców, których artysta nie spotkałby w stacjonarnej galerii. Minusem jest utrata kontaktu osobistego czy utrata kontroli nad pracą, gdy umieszcza się ją w Internecie. Chciałabym zachować równowagę pomiędzy działalnością CEiK-u w mediach i w świecie realnym. Jako instytucja mamy szansę wykorzystać media do szerokiej promocji działalności kulturalnej i artystycznej naszego regionu i wyjść poza ten regionalizm, ułatwić artystom, ludziom twórczym wymianę z całym światem.

ARTUR KOWALSKI

## Dziennik holenderski

Dzień pierwszy. Zmęczenie, ból stóp, wielokulturowość, życzliwość. Na palarni gęsta atmosfera i gęsty dym. Ból stóp.

\*

Zadziwiające, że w tak odległym miejscu można spotkać kogoś, kogo zna się z Olsztyna. Spotykamy się i spędzamy wieczory na small talkach. Gdy byłem młody, moi rodzice podobnie spędzali czas ze swoimi znajomymi. Czy to dorosłość? Z dziećmi kontakt był o wiele prostszy. Podchodziło się do dziecka, wymieniano się imionami i można było razem odkrywać świat.

\*

Rosjanki z naprzeciwka zaczęły prowadzić batalię muzyczną z moim małym JBL-em GO swoim gargantuicznym głośniczkowym świecącym w kolorach tęczy i poruszającym ziemię. Raczą nas od rana rosyjskim disco. Gdy wyszliśmy na papierosa, patrzyły na nas, jakby oczekiwały, że podejdziemy i poprosimy o ściszenie. Szczęście, że jestem oazą spokoju, takie rzeczy mnie nie dotyczą.

Tak naprawdę to się wkurwiam, ale jeśli podejść i poproszę o ściszenie, to tylko dam im satysfakcję...

\*

Marcin zrobił mi test majonezów – wolę smak tego chujowego majonezu za euro niż tego za cztery. Siedzimy przed barakiem, pijam zimną, wczorajszą kawę w kubeczku wielkości filiżanki z małym paluszkiem ostentacyjnie uniesionym w górze. Rozkoszuję się skręconym papierosem. Słuchamy nastrojowej muzyki, wiatr smaga liście, a słońce oświetla me lico (Jakież to poetyckie... powiedziałem do Marcina. Odpowiedział: Jakie to obrazowe...).

— Bardzo sobie cenię wprowadzanie kontekstów kultury, szczególnie klasyków literatury. Zasiłaliśmy srogo, bo zacytował mój tekst, który przeczytałem mu poprzedniego dnia.

\*

Widziałem, że zaczęła na mnie wzrok, że upatrzyła sobie ofiarę, wcześniej, przed pracą, i gdy już jechałem do pracy.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, żeby zrobić wpis do dziennika, przyszła. Przeszła około 20 metrów od swojego domku do mojego. Obserwowałem ją przez ten czas. Zastygłem w spowolnieniu, nic już dziś nie napiszę. Jestem rozmontowany – pomyślałem.

Zapytała, czy mam pożyczyć zapalniczkę. Nie pytała o papierosa, chociaż i tak bym poczęstował. Choć nie wiem, jakbym chciał, to papierosa nie odmówię, chyba, że mam ostatniego. Sam byłem wielokrotnie w sytuacji bezpapierosowej, ale nikt mi nigdy nie odmówił, nawet jeśli się komuś to nie podobało. Nawet ten gruby kierowca, klnąc pod nosem, poczęstował mnie jednym. Jakaś etykieta, wspólna dola palaczy, że przecież wiadomo, jak to jest być w nikotynowej potrzebie, nie pozwala na odmówienie papierosa. No, i wzięła tę zapalniczkę. I jakby inaczej, spytała, czy może się przysiąść. Zgodziłem się, choć musiałem zdjąć słuchawki i zaniechać wpisu do dziennika. Akurat dziś, kiedy był mi tak potrzebny i kojący... No cóż, może chociaż rozmowa z nią nie będzie aż tak tragiczna – pomyślałem. Miała bardzo przyjemny, chociaż przepity, głos.

— To wszystko jest wyjebane – powiedziała z czeskim akcentem po wymianie uprzejmości. Piwo sączy się z kącików ust, sptywa po twarzy i brodzie. Twierdzi, że nie powinna już pić. Straciła pracę, żali się i czeka na telefon, czy zatrudnią ją gdzieś indziej. Zrobiło mi się jej żal. Wróciłem do domu. Musiałem jej powiedzieć, że idę spać, ale tak naprawdę nie byłem w stanie już pomieścić w sobie jej cierpienia. Gdy wstałem, poprosiła o papierosa. Jak mógłbym jej odmówić?

\*

Dzień zaczął się bardzo spokojnie i miło. Mamy wolne. Byliśmy w sklepie, obkupiliśmy się, bo jesteśmy po cotygodniowej wypłacie. Teraz siedzimy na krzeselkach przed domem. Marcin robi obiad, Litwini i Hiszpanie siedzą z nami. Odpoczywamy i słuchamy Franka Sinatry. Pogoda jest parna, rano padało. Niesamowicie spokojnie.

\*

Pobudka o czwartej nad ranem. Rosjanki napierdalają muzyką ze swojej pralki. Miałem ochotę rzucić w nie jajkiem.

\*

Dni zlewają się. Nie odróżniam poniedziałku od czwartku i środy od niedzieli. Nie wiem, kiedy rozmawiałem z Tobą, z nim, z nią, z tamtym, tamtą, czy wczoraj czy w zeszłym tygodniu. Jestem zmęczony, trochę fizycznie, ale chyba przede wszystkim zaczęła mnie męczyć ta monotonia, co za tym idzie – więcej śpię, a wolne dni spędzam na leżeniu. Jak się zlewają i nie mam bodźców, to jestem bardziej zmęczony, bo jestem smutny. I zapętlilem się w tym zlewaniu i zmęczeniu, pogłębiając swój dekadenski stan. Mimo wszystko jednak jestem wolny i czuję to, nawet jeśli czasem o tym zapominam. Wiele się zmieniło i dalej się zmienia. Kiedy wracam nocą z pracy, patrzę na

niebo, które jako jedyne pozostaje nieruchome, gdy wszystko przemyka mi w kącikach widnokregu.

Droga powrotna to mój ulubiony element każdego dnia.

Nie wiem, co będę robił po powrocie i nie myślę o tym. Rozkoszuję się powrotem i wolnością.

Doznałem dziś najprawdziwszej gnozy, kiedy stwierdziłem, że moją drogą jest bycie w drodze. Nieważne gdzie, najlepiej na wielu ścieżkach na raz, po prostu w ruchu. W ruchu i niustannej tęsknocie do stałości.



Rys. Iwona Bolińska-Walendzik

ARTUR KOWALSKI (ur. 1996 r.) – ukończył studia pierwszego stopnia z filozofii na UWM. Niegdyś związany z olsztyńską sceną teatru amatorskiego i Olsztyńskim Klubem Literackim. Obecnie studiuje psychologię w Poznaniu. Na co dzień zwraca uwagę na wszelakie subtelnosci. Interesuje się również bardzo intensywnie szeroko pojętym rynkiem gier wideo. Opublikowany fragment to jego debiut prasowy.

WIKTOR MAREK LEYK

## Dzień z życia Marka L.

Niedziela. 3:10. Budzik, jak zwykle, dzwoni nie w porę. Dzień jak nie co dzień. Terenia leci do swojego ukochanego Lwowa. Choć nie składała tam ślubów jak król Jan Kazimierz, to jest temu miastu wierna w pracy i rozrywce. Poranne krzątanie, przygotowuję jej drugie śniadanie – zje jako pierwsze, w busie „Kondratowicza”. Miał przyjechać o piątej, bo odlot z Okęcia o 11:00, ale wieczorem na siódemce pod Nidzicą był wypadek – rozszczelniła się cysterna z tlenem – to będzie wcześniej. Wyciek zagraża ludziom, więc pewnie objazd, chyba że usuną do rana. To dziwne, że tlen zagraża ludziom, a bez niego żyć nie mogą. Widocznie wszystko w nadmiarze szkodzi.

Ja z Wiktorią rano też do Warszawy. Ma spotkać się z nową koleżanką, z którą razem wynajęły mieszkanie na studia. Poznały się już wcześniej na mesendźerze czy innym łacapie, razem zdawały na historię sztuki na UW. Mieszkanko na Woli, siedem minut do zajęć na ul. Prostej i stacja metra, skąd trzy przystanki do Nowego Świata, a stamtąd pięć minut Krakowskim Przedmieściem i już będą w centrum uniwersytetu.

W niedzielę nie ma tłoku, droga prosta, gdzieś tam kręta przez objazdy. Po dwóch godzinach mijamy Łomianki znane z ciągłego, porannego tłoku, a dzisiaj pusto. Trzydzieści lat temu nikt o Łomiankach nie słyszał, dopiero wieś rozstawił poseł Samoobrony Zbigniew Witaszek, wielki i ciężki, miał tam dobrą knajpę, w której gościło się wielu biznesmenów rodem z filmu „Psy”... I tak dostał się do parlamentu.

Dziewczyny umówiły się pod Belwederem przy bramie do Łazienek, więc lecimy Wisłostradą gierkowską, mijamy odbudowany zamek królewski, oczywiście gierkowski, skręcamy w Trasę Łazienkowską, też jego. Mijamy Plac na Rozdrożu i wjeżdżamy w Aleje Ujazdowskie, to już szlak królewski – przez nich zbudowany – od Placu Zamkowego do Wilanowa.

Nowe koleżanki spotykają się w Łazienkach, a ja skręcam w ulicę Bagatela i Plac Unii Lubelskiej, skąd rozchodzą się Marszałkowska i Aleja Szucha. Tu w kamienicy pod numerem trzecim „urzędowałem” w ChSSie w gabinecie na drugim piętrze przez 10 lat, drzwi w drzwi ze Stasiem Tołwińskim, obecnym właścicielem lotniska w Wilamowie i twórcą Mazury Air Show, a wtedy, w latach 80-tych, sekretarzem Generalnym PZZ, któremu prezesał Mieczysław Rakowski. Z okna miałem widok na ambasadę NRD. Dziś obok jest ambasada Ukrainy, której wtedy jeszcze nie było. Obchodzi właśnie trzydzieste urodziny. Ukrainie sława. W czasie okupacji mój gabinet był częścią jednego z tajnych lokali gen. Grota Roweckiego, a jego walorem było naróżne położenie, w razie niebezpieczeństwa generał miał drogę ucieczki zarówno w Aleje Szucha – choć tu była siedziba Gestapo – jak

i w Marszałkowską. W lokalu umieściliśmy stosowną tablicę pamiątkową. Wtedy nie spodziewałem się, że kiedyś w pobliżu, po drugiej stronie ulicy, będzie Nuncjatura Apostolska, a obok siedziba Trybunału Konstytucyjnego, pod którym będziemy protestować w obronie demokracji. Pod Trybunałem, nie pod Nuncjaturą, oczywiście!

Spod Trybunału w 2017 roku z wzrastającym tłumem maszerowaliśmy na Plac Na Rozdrożu, a stamtąd z rozentuzjanzmowaną Irenką Telesz ponad stutysięczny tłum maszerował przez Plac Trzech Krzyży w Nowy Świat, protestując głośno przeciw Jarosławowi ze świata starego. Pamiętam, że między cukiernią z pączkami Bliklego a kawiarnią Nowy Świat, w której kilkakrotnie w stanie wojennym spotykałem się z Janem Józefem Lipskim (mieszkał piętro wyżej), na balkonie pojawił się wymachując wielką flagą niedawny Wszechpolak Roman Giertych, taki zniechęcony wcześniej przez nas pre-Czarnek, a myśmy bili brawo. Do tego k... doszło!

Teraz wchodzę w Krakowskie Przedmieście. Pod pomnikiem naszego Mikołaja K. protest Białorusinów. Krótkie wystąpienie uciekinierów, biało-czerwono-białe flagi z godłem Pogoni. Najbardziej Łukaszenkę musi wk...ć właśnie ta Pogoń, bo symbolizuje przynależność do zachodniego świata z Rzeczpospolitą Obojga, a nawet więcej, Narodów, a nie z euroazjatyckim imperium, z naciskiem na to drugie. Wysoki Pan o sporej tuszy opowiada o przeżyciach w więzieniu, z którego właśnie wyszedł, wątki przerywa grą na trąbce piosenek a'la Kaczmarski, ale już oryginalnego, białoruskiego autorstwa. Wszyscy powtarzają refren, podnoszą rękę ze znakiem V, podobnie jak na ostatnim plakacie TVN. Ja z nimi też. Kończymy okrzykiem: „Żywie Białoruś”. Muzyk zaprasza na swój wieczorny koncert.

Przy bramie uniwersytetu natykam się na Wiktorię z nową koleżanką, albo one na mnie. Wiktorija przypomina, że bym kupił, jak zwykle, pączki u Bliklego – już kupiłem, czekoladki u Wedla też. Terenia zadzwoniła, że doleciała, już jest we Lwowie, w mieszkaniu przy Operze na Placu... Swobody. Dziewczyny tymczasem wchodzą przez bramę uniwersytetu, rozpoznają przyszłą studencką logistykę. Ich wydział mieści się obok rektoratu w Pałacu Kazimierzowskim. Same centrum dawnej szkoły głównej założonej przez Adama Czartoryskiego (seniora). Ale uniwersytet powołał do życia Aleksander, car Wszechrosji i Priwislinskiego kraju. Niech to cholera weźmie! Na Krakowskim eksponowana jest wystawa muzeum uniwersyteckiego. Na jednej z plansz reprodukcja obrazu prof. Henryka Samsonowicza, rektora w latach 1980-82. Portret przedstawia siedzącego w fotelu profesora – na luzie, w domu, w saloniku ktoś gra na pianinie,

na ścianie portret żony. Znaczy się można być wybitnym i normalnym jednocześnie. Dalej przechodzę obok pomnika Bolesława Prusa, nieco ukrytego w parkowym zaułku, ale siadam na ławeczce w towarzystwie ks. Twardowskiego, autora wiersza *Spieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. W dziewięćdziesiątym uczestniczyłem w danym przez niego moim przyjaciółom z YMCA ślubie w kościele wizytek. Po chwili do moich uszu dochodzi muzyka. Pod Bristolem skrzypek rewelacyjnie gra *Imagine* J. Lennona, o którym ostatnio plótt bzdury arcy purpurat z Krakowa. Pięćdziesiąt metrów dalej pod Pałacem Namiestnikowskim coniedzielną demonstracją obywateli RP. Ludzie uformowali napis „konstytucja”, „TVN” i „Uchodźcy na białoruskiej granicy”. Śpiewają nowokaczmarkowe pieśni anno domini 2021, ja z nimi też. Kończymy hymnem. Z boku namocik prawdziwych Polaków z napisem „Solidarność”. Próbują zakłócić utworami patriotycznymi z Powstania autorstwa Grzesiuła a'la: siekiera, motyka...

Wracam pod Teatr Polski, gdzie zaparkowałem i ruszamy z powrotem do Olsztyna. Wiktorija bardzo zadowolona ze spotkania. W końcu z koleżanką będą razem mieszkać przez następny rok i „sztukować” dzieła ludzkiej cywilizacji. Przed Płońskiem zmierzcha. Z naprzeciwka bije sznur światła wracających z wakacji warszawiaków. Przebudowa siódemki, ze zjazdu wjazd. Uczępiłem się toyoty z gdańską rejestracją i jakoś pomykam. Myślę sobie, aby tylko nie padało. Mijam Mławę i wykrakałem. Leje! W tym miejscu pierwszego września trzydziestego dziewiątego starty się wojska niemieckie z polskimi obrońcami. Gdy dzisiaj widziałem tłumy uśmiechniętych i rozbawionych ludzi na Krakowskim Przedmieściu, to nasunęły mi się wspomnienia mojej mamy, wtedy maturzystki, z ostatniego przedwojennego weekendu. Nikt się nie spodziewał, że następnego dnia wybuchnie wojna, a jednak... Między pokojem a nieszczęściem wystarczyła chwila.

Teraz z górki, wpadam na dwupasmówkę i w pół godziny zjeżdżam na obwodnicę naszego miasta. Koło Kudyp w prawo i do Gutkowa. W domu, pieski na spacer i o 23:00 wiadomości w TVN. Uchodźcy na granicy bez zmian, Polska wygrała z Ukrainą w siatkówkę, a mogła przynajmniej zremisować, Majka wygrał XV etap Vuelty. Więc jednak można wykreślić numer, nawet na rowerze. Kończę lekturą „Polityki” o Budapeszcie. To w socjalizmie była jedyna metropolia w naszym bloku. Jej burmistrz może wygrać przyszłoroczne wybory na Węgrzech. Dzisiaj jest w Olsztynie na Campusie Przyszłości. Dobranoc.

Olsztyn, 29 sierpnia 2021 r.



Rys. Gabriela Rogalska PLSP w Olsztynie

## MŁODZIEŻOWY Dyskusyjny Klub Książki w Ostródzie

### Młodzi z Ostródy

#### LAURA OTREMBA

laureatka konkursu Instytutu Książki na recenzję książki

#### LUDZIE Z LODU

(fragmenty opowiadania)

Uważnie wstuchiwałem się w głosy dookoła. Padały słowa: dziwak, chory psychicznie i pedał, do moich uszu dotarło również: – Wypad z tej klasy! – Jedna z dziewczyn, przechodząc obok, zatrzymała się i oparła o moją ławkę. Już miałem nadzieję, że ktokolwiek spojrzy na mnie inaczej niż wszyscy dookoła, jak na człowieka, nie dziwoląga. Nadzieja ta jednak została brutalnie pogrzebana, gdy blondynka się do mnie odezwała.

– Jak mamy cię traktować poważnie skoro wyglądasz... tak? – W jej spojrzeniu płonęła nienawiść, głos przepełniony był jadem. Przypominała mi węża gotowego zabić swoją ofiarę za wszelką cenę. Mimo tego zdecydowałem, że złością nic nie wskóram. Obrąłem inną taktykę.

– Za to ty wyglądasz naprawdę ślicznie – uśmiechnąłem się, zbijając tym dziewczynę z tropu. Mruknęła coś pod nosem i odeszła, by zająć swoje miejsce. Musiałem się przyzwyczaić, w końcu wyrzuciłem życie tej klasy do góry nogami, pojawiając się tutaj po zakończeniu ferii.

Dopiero cztery dni po rozpoczęciu mojej nauki tutaj ktokolwiek zdecydował się porozmawiać ze mną normalnie, bez ponizania. Wśród uczniów zarówno w klasie, jak i w szkole czułem się zwyczajnie źle. Wiedziałem, że jestem obserwowany i wytykany palcami. Miłym oderwaniem od ponurej, brutalnej, szkolnej rzeczywistości była jedyna dziewczyna, która zdecydowała, że oceni mnie dopiero po poznaniu się. Podeszła do mnie podczas jednej z przerw, siedziałem wtedy w bibliotece i coś czytałem. Przesiadła się do stolika i tak zaczęła się nasza znajomość. Rika była wyjątkową dziewczyną. Rude, kręcone włosy sięgały jej prawie do pasa, lekko zadarty nos upstrzony był piegami. Oczy niczym dwa piękne szafiry przepełnione były łagodnością oraz miłością do całego otaczającego ją świata. Oprócz niej nie miałem zupełnie nikogo. Szkoła była dla mnie niczym ultra ciężka gra, prawie niemożliwa do przejścia. Każdy tydzień był kolejnym poziomem coraz bardziej przepełnionym różnego rodzaju potworami. Rika stanowiła kompana, który miał mi pomóc je pokonać. Jestem lwo, mam 14 lat. W szkole po zaledwie trzech tygodniach nauki znany jestem jako „ten z 7C”. Gdy pada ta nazwa wszyscy wiedzą, o kogo dokładnie chodzi. Klasa

zyskała sławę... Niestety złą. I to ja byłem jej powodem. Nie różnię się jakoś bardzo od chłopaków z klasy. Tak jak oni gram w fabularne gry komputerowe, oglądam rozmaite seriale, słucham muzyki rockowej oraz jak większość uwielbiam jeździć na deskorolce. Jedyne co mnie spośród nich wyróżnia to mój ubiór. Noszę spódnicę.

Nie widzę w tym osobiście nic złego. W mojej rodzinie panowało przekonanie, że każdy może nosić, co chce. Mama nosiła garnitury... a ja odnalazłem się w spódnicy, czułem się w niej komfortowo. Dla ludzi dookoła było to jednak dziwne i nienaturalne. Rika natomiast twierdziła, że wyglądam bardzo dobrze i mi pasuje.

(...)

Wszystko zaczęło się na pierwszej lekcji wychowania fizycznego, w której uczestniczyłem, a więc trzy tygodnie po moim pojawieniu się w szkole. Okres zwolnienia lekarskiego minął, musiałem powrócić do ćwiczeń. Chciałem zwyczajnie wejść do szatni i się przebrać, jak każdy inny chłopak z klasy. Uniemożliwił mi to jednak Stoper. Byłem już krok od szatni, gdy złapał mnie za ramię, boleśnie wbijając przy tym paznokcie w moją skórę. Stałem w bezruchu, zbyt przerażony by cokolwiek zrobić. Nauczyciel pociągnął mnie w swoją stronę, spojrzął mi prosto w oczy z nienawiścią, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem.

– A ty dokąd? – W samym jego głosie czułem niesamowite obrzydzenie moją osobą. – Dziewczyny mają szatnię tam. – Mówiąc to, pokazał mi palcem drzwi po przeciwnej stronie korytarza, uśmiechał się szyderczo. Zachowywał się jak stereotypowo przedstawione wampiry w wielu książkach.

(...)

– Zostawi go pan, chłopak chce się tylko przebrać, żeby móc ćwiczyć. W czym jest problem? – Jasnowłosy chłopak objął mnie ramieniem, jednocześnie lekko odepchnął rękę nauczyciela. Cieszyło mnie uczucie swobody po tym niesamowicie ciągnącym się incydencie. Próbowiałem sobie przypomnieć, jak nazywał się blondyn, wcześniej nie zwracałem zbytniej uwagi na kogokolwiek należącego do tej samej klasy, z wyjątkiem Riki oczywiście. Mimo wszystko z tyłu głowy błysnęło mi imię. Leon. Wiedziałem, że prowadzi w tej szkole zespół muzyczny oraz należy do drużyny koszykarskiej. Zawsze rozpoznawałem głównie jego blond loki i przyjazne spojrzenie szarych jak burzowe chmury oczu. Łagodne rysy twarzy chłopaka powodowały, że często miałem ochotę podejść i porozmawiać. Coś mnie do niego ciągnęło, nie chciałem jednak, by ktokolwiek widział, jak z nim rozmawiam. Z pewnością kontakt ze mną miałby tragiczne odbicie na jego reputacji w szkole.

Zawaliłaby się niczym domek z kart. Teraz jednak sam podjął decyzję, by się gdzieś ze mną pokazać, wstawić się za mną. Chyba zyskałem kolejnego sojusznika w tym nieprzyjemnym, szkolnym środowisku stanowiącym pole walki dla takich jak ja.

(...)

Gdy już nabraliśmy nadziei na koniec piekła związanego z wychowaniem fizycznym, problemy wróciły, jakby przywołane zbytnią radością i spokojem w szkole. Zostałem zmuszony do opuszczenia szatni chłopców. Właściwie to wyciągnięty siłą przez jednego z uczniów. Nie próbowałem się nawet szarpać, wysiłek był daremny. Póki mogli zyskać szacunek innych poprzez krzywdzenie mnie... nikt nie odpuszczał.

(...)

Usłyszałem kroki Stopera. Nie zdążyłem wstać z podłogi przed jego przyjściem, stanął nade mną, z widoczną dumą klepiąc mojego oprawcę po ramieniu. – Bardzo dobrze chłopcze. Niektórym trzeba pokazać, gdzie ich miejsce. Na pewno nie wśród mężczyzn. – Pogardliwe spojrzenie nauczyciela odebrało mi mowę. Byłem sparaliżowany strachem, wypełniał każdą komórkę mojego ciała. Nie umiałem wstać i odejść, jak zrobiłby każdy trzeźwo myślący uczeń. To był mój błąd, nie mogłem zerwać się z miejsca mimo obezwładniającej obawy o własne bezpieczeństwo. Nauczyciel kopnął mnie czubkiem buta w czułe miejsce na tyłce, syknąłem z bólu. Widocznie tyle mu wystarczyło, odszedł do magazynku sportowego, rzucając na odchodnym, że mamy się do końca przebrać.

(...)

#### KAJA KISIELEWSKA

uczennica Liceum Ogólnokształcącego nr 1 im. Jana Bażyńskiego w Ostródzie

#### LEKKOŚĆ

chciałabym być piórkim  
wychodziłabym z poduszki  
gilgotata Twoje nóżki  
kiedy śpisz

mogłabym pełnić oparcie  
śpiewając Ci do ucha  
gdy już będę sucha  
z Twoich łez

tworzyłabym Ci uśmiech  
codziennie nowy  
z każdym huczeniem sowy  
kończyłabym dzień

byłabym słodyczą  
ostoją chwili i ciszą  
niepotrzebne słowa  
odeszłyby w cień

przynosiłabym Ci pogodę  
chowala przed tobą ogień  
wszystko tylko  
by zgasić ten lęk

musiałbyś mnie prowadzić  
serce z kamienia wygładzić  
stworzyć stałą postać  
nie odchodzić tylko zostać

#### ASTERIA

absolwentka Liceum Ogólnokształcącego nr 1 im. Jana Bażyńskiego w Ostródzie

#### NIE ŻYJĘ

Lecę nad miastem  
otulony mgłą.  
Świat z góry podziwiam.  
Lecę rozmawiając z krukami.  
Nim jestem też ja.

Odezwał się z dołu  
ptak piękny, lecz niełot:  
„Gdybyś, za życia człowieka nie wywyższał się.  
Gdybyś skromność swą zachował.  
Gdybyś do celu dążył dobrocią.  
Dalej długie kroki dwiema nogami byś stawiał”.

Krople z kruczego oka  
po piórach w dół spłynęły.  
Mimo, że żyję, czuję i widzę  
to mnie nie ma.  
Uśmierciłem sam siebie.

Bo zamiast doceniać – oceniałem  
i chciałem wszystkiego więcej...

## TAMARA BOŁDAK-JANOWSKA i TOLO SZALEŃCZYK

\*\*\*

Czasem wiersze przybiegają do mnie i od razu mają formę. Można je tak zapisać, jak przybiegły, ale dają im piątą, szóstą formę, żeby stały się pełną poezją.

Przybiegł wierszyk w środku nocy:

1/ KRYSKA

*Może być tak, że czytasz czyjaś*

*mądrą frazę*

*w otwartej jak powietrze książce.*

*A tu kryska.*

*Nie masz więcej miejsca.*

Tolo mówi: Jaki przerażająco smutny wierszyk!

Smutny, tak, i co z tego. Naprawdę można umrzeć, czytając czyjaś poetycką, zachwycającą książkę.

2/ CHCĘ TEGO DIALOGU:

TOLO:

Tego,

białego walca,

proszę Pani koniecznej,

tańczy się leżąc, wiem.

Pani ostatnia, ostateczna,

powinnaś nazywać się Biały Walec.

Bo nieruchoma już głowa

jeszcze zatacza półkregi,

zgodne z twoimi krokami.

I w końcu – jeszcze myśląc – jeszcze wie –

że zdolna jest – jeszcze – do zataczania

pełniejszych kręgów i do wirowania pełnym kołem.

TAMARA BEJOT:

Kobieta, dziewczyna, dziewczynka

inaczej to wie – to nie jest biały

taniec dla niej.

Nie zaprasza jej żadna Pani.

Nie kobieta.

Kto?

Nikt.

To wiersz mężczyzny. Męskie słowa.

Nie tak samotne.

Jeszcze zwrócone do partnerki.

Jeszcze poetyckie.

W słowach kobiety nie ma poetyckiego ratunku.

W żadnej chwili,

a szczególnie w tej tanecznej.

Pewnego razu w nocy poczułam ciszę absolutną. Zacichła ulica, milczą ptaki.

Słyszałam tylko własny oddech i jakiś cudzy szept – jakby coś szeptała do mnie poduszka. I przybiegł do mnie wierszyk o tym, ten:

3/ CISZA NAKRĘCA NA SZPULKI

*oddychającą nitkę – ty oddychasz,*

*nitkę szepczącą – poduszka szepcze coś,*

*i nitka zdaje się bardzo stara*

*albo z mąki, bo się sypie, choć to strumień.*

Innym razem zobaczyłam, a zarazem poczułam obrazek taki:

4/ SZYBKO TNĄCE SŁOWA PTAKÓW.

*Motyl wyrwał się z pstrokatej tapety,*

*która cała zakwitła drzewami.*

Piszę dzisiejszy tekst i słyszę inny wierszyk, prosty, i niech taki zostanie:

5/ BOGACTWO

*Od pokazów Ziemi*

*aż się wzrok ugina.*

*Chaber przybiegł na niebieskich rzęsach.*

*A postarzały mlecz toczy się pod nogi*

*cały biało pocerowany.*

Zobaczcie ze mną ziemię niestraszną.

*To samo w języku zwanym prostym*

Wierszy przybłahając da minie i ad razu mając formu i można jich tak zapisać, jak przybiehli, ali ja jim daju piatuju i szastuju formu, kab zrabilisa poúnaju paezjaju. Prybieh wierszyk ũ nacze:

1/ KAPIEC

*Moža być tak, szto czytajasz, czyjuś*

*mudruju frazu*

*ŭ adkrytaj jak pawietra knižcy.*

*A tut kapiec.*

*Bolsz miesca ni majasz.*

Tolo kaža: jaki straszno smutny wierszyk! Nu smutny, a szto z hetaho? Można na-praŭdu pamierci, czytajucy czyjuś paetyckuju knižku, jakaja cibile zachapłaja.

2/ CHACZU RAZMAŬLAĆ:

TOLO:

Hety

biety wals,

kali łaska, waspani niepazbiežna,

tańczyca leżaczy, znaju.

Waspani astatnia, praŭdziwo finalna,

wy pawinny zwacca Biety Wals.

Bo nieruchomaja ũže haława

jaszcze krucić paŭkruhi

zhodnyja z waszymi krokami.

I nakaniec – jaszcz dumajucy – jaszcz wiedaja –

szto zdolna – jaszcz – da paŭniejszych

kruhaŭ, i nawet moža wiarciecca

poŭnym kołam.

TAMARA BEJOT:

Žanczyna, dziaŭczyna, dziaŭczynka

inaczej heta wiedaja – heta ni biety taniec

dla jaje.

Jaje ni zapraszaja nijaka waspani.

Ni žanczyna.

Chto?

Nichto.

Heta wiersz mužczyny. Mužczynskaja słowo.

Ni tak samotno.

Jaszcz żwiornuto da partnerki.

Jaszcz paetyckaja.

Ŭ słowach žanczyny nima paetyckaho ratunku

Ŭ nijakaj chwilini,

a asabliwo ũ hetak tanecznej.

Adzin raz ja paczuła absalutnuju ciszynu. Wulica cichaja, ptuszki ni spiwali. Czula tolki swajo dychańnie i jakojaś szaptańnie – jakby paduszka szaptała. I pryszoŭ pra heta wierszyk:

3/ CISZYNA NAKRUCZWAJA SZPULKI

*z dyszczaj nitki – ty dychajasz,*

*z szapczuczaj – twaja paduszka sztoś szepcza,*

*i nitka zdajecca wielmi staraja*

*abo z muki, bo syplacca, chacia strumienicca.*

A raz ũhledziała i paczuła taki wobraz:

4/ CHUTKO TNUSZCZYJA SŁOWY PTUSZKAŬ

*Matylok wyrwaŭsa z rabych abojaŭ,*

*jakija celo začwili drewami.*

Kali ja pisała pra siońniajszy tekst, jaszcz adzin wierszyk przybieh, a jon prasty i chaj takim astaniacca:

5/ BAHACTWO

*Ad widowiszczŭ ziamli*

*aż zrok ũhibajacca.*

*Watoszka przybiehła na sinich wiejalkach.*

*A stary małaczaj kocicca pad nohi cety pacyrowany bieło.*

Zabaczcia heta sa mnoju. Ziamlu niestrasznu.

GRZEGORZ WESOŁOWSKI

## Wejść na utarty szlak

„Podążaj własną drogą”, „Zejdź z wydeptanej ścieżki”, „Nie idź czyimś śladem” – tego typu zachęty często słyszymy od podróżników udzielających się medialnie. I chyba ich słowa rzeczywiście poskutkowały, bo jak grzyby po deszczu rosną biznesy nastawione na niemasowych turystów, a do naszej świadomości coraz częściej przebijają się hasła takie jak: glamping, bushcraft, urbex, groundhopping czy geocaching. Tymczasem wydaje się, że nieco w cień odeszły stare, dobre szlaki turystyczne. Oczywiście na najbardziej znanych trasach karkonoskich czy tatrzańskich natkniemy się na tłumy, ale tak naprawdę większość pieszych szlaków może paradoksalnie zaferować właśnie to, czego szukają podróżnicy spragnieni oryginalności i odosobnienia. A jest z czego wybierać – zgodnie ze statystykami w Polsce mamy do wyboru prawie 50 tys. km szlaków pieszych (raport GUS *Turystyka w 2020 r.*).

No dobrze, a po co w ogóle w dobie niezawodnej nawigacji korzystać z wytyczonych szlaków? Po pierwsze właśnie dlatego, że dzięki symbolom zamieszczonym na drzewach, budynkach, słupach czy tabliczkach obędziemy się bez telefonu, a nawet mapy. Prawidłowo oznaczona oraz dobrze wytyczona trasa poprowadzi nas przez największe bezdroża i najdziksze ostępy. I niekoniecznie mowa tu o górskich przeprawach w rodzaju Orlej Perci – również na nizinach można przeżyć przygodę i doświadczyć czegoś niezwykłego. Chociażby trasa Gugny-Barwik przebiegająca na terenie Biebrzańskiego Parku Narodowego. Już egzotycznie brzmiące nazwy punktów wyznaczających początek i koniec tego czerwonego szlaku zwracają uwagę turysty. On sam zaś stawia przed podróżnikiem coraz większe wyzwania – z kładki przechodzi się przez groblę, potem pokonuje się podmokłą polanę, by dostać się na całkowicie zalaną łąkę, której sforsowanie bez specjalistycznego obuwia (czytaj kaloszy) jest już niemożliwe. Osobiście się o tym przekonałem, gdy wraz z przyjacielem odkrywaliśmy największy polski park narodowy. Pomimo zapowiedzi, że szlak jest „okresowo zalewany”, wierzyliśmy, że wysokie turystyczne obuwie wystarczy, a jednak... Po tej wyprawie nasze buty bardzo długo suszyły się przy wieczornym ognisku.

Czasem przygoda zjawia się niespodziewanie, jak wtedy, gdy nad Łyną ze Szlaku Kopernikowskiego przegnała mnie rozłuszczona wydra. Czasem niezwykle przeżycie zapewnia trasa sama w sobie... Weźmy pod uwagę ten sam, niezwykle ciekawy, Szlak Kopernikowski. Pod Olsztynem jeszcze dla piechura przyjazny, na Wysoczyźnie Elbląskiej staje się już nie lada wyzwaniem. Ścieżki niespodziewanie się kończą. Każdego następnego oznaczenia należy wypatrywać w gąszczu. Szlak wymaga tu zachowania dużego skupienia i dobrej orientacji w przestrzeni.

Przygoda nie zawsze wiąże się z podziwianiem spektakularnych widoków czy przemierzaniem wyboistych dróg. Czasem przychodzi po prostu pod postacią nieoczekiwanego odkrycia zapomnianej przez świat, przydrożnej kapliczki czy wiejskiego sklepiku z szklami pamiętającymi czasy PRL-u, które skłaniają do refleksji i wprawiają w nostalgiczny nastrój. Odnajdywanie nieoczywistego piękna i niezwykłych (na lokalną skalę) historii to nieodłączna część wędrowki, a wręcz jeden z jej głównych walorów. Nie trzeba zagłębiać się zanadto w wynajdywanie atrakcji ani przeczesywać grup dyskusyjnych w poszukiwaniu ciekawych widoków czy obiektów – szlak sam nas do nich zaprowadzi, warto mu zaufać.

Mimo wszystko, aby oddać się beztroskiej radości przemierzania trasy, należy najpierw włożyć trochę wysiłku w wyszukanie odpowiednich informacji o szlaku i choćby tylko ogólne zaplanowanie wyprawy. Warto sprawdzić, co potwierdza przykład Biebrzy opisany powyżej, czy na trasie nie ma odcinków zamkniętych lub niedostępnych (szczególnie jeśli podróżujemy z dziećmi). Aktualne informacje znajdziemy zwykle na stronach internetowych parków narodowych lub krajobrazowych oraz na witrynach lokalnych oddziałów PTTK. Jeśli w trasie lub przy jej planowaniu chcemy podeprzeć się mapą inną niż papierowa, zdecydowanie polecam czeskie mapy.cz, na których zaznaczono przebieg większości (nawet najbardziej zapomnianych) polskich szlaków. W przypadku tras górskich lub podgórskich w grę wchodzi oczywiście również znana mapa-turystyczna.pl. Mapy Google wykorzystać można z kolei do sprawdzenia dni i godzin otwarcia sklepów po drodze, co jest szczególnie istotne przy kilkudniowych wypadach. Odpowiedni ubiór, wyposażenie i zaplanowanie dojazdów/powrotów to już oczywistości, nad którymi nie ma potrzeby się rozwodzić.

Na szlaku liczy się tak samo cel jak i droga. Możliwość przejścia ładnej, nieoczywistej i urozmaiconej trasy to zdecydowanie element, którego poszukuję w szlakach. Znalazłem to np. na Pogórzu Przemyskim, gdzie za każdym zakrętem oczom ukazywał się nowy, malowniczy widok eksponujący piękno przyrody i doskonale wkomponowane w nie ślady ludzkiej kultury. Co ważne, był to krajobraz pozbawiony innych wędrowców. Na drodze spotkałem wówczas więcej dzików niż ludzi. Raz tylko natknąłem się na nielicznych leśniczych, szczerze zdziwionych obecnością turysty. Tego typu szlaki sprzyjają samotnym wędrowkom, pozwalając na dotarcie nie tylko do celu, ale i w głąb siebie.

Niestety, uczciwie trzeba powiedzieć, że nie wszystkie z nich zaplanowano w sposób odpowiadający oczekiwaniom dzisiejszych turystów. Np. na pograniczu województw warmińsko-mazurskiego i pomorskiego przebiega krótki Szlak Żuławski. Wiedzie on przez

miejsca bardzo ciekawe, w tym ruiny kościoła w Fiszewie z intrygującym cmentarzem mennonickim. Daje też okazję zobaczenia pomnika krowy rekordzistki w Starym Polu (Jaki rekord ustanowiła? Przekonajcie się sami!). Jednak w większości trasę tę przemierza się asfalterem, co przy dzisiejszym nadmiernym rozwoju motoryzacji i związanym z tym ruchem pojazdów nawet na małych gminnych drogach nie stanowi wielkiej przyjemności dla piechura.

Dla mnie dopiero połączenie dwóch elementów – atrakcyjnej trasy oraz ciekawych (lub po prostu pięknych) miejsc po drodze – daje szlak idealny. Moim numerem jeden jest wytyczony na Pojezierzu Kaszubskim Szlak Kartuski. Drogę pomiędzy kolejnymi perełkami kultury, architektury i techniki (m.in. kościołem w Kartuzach, którego dachowi nadano kształt trumny czy wciąż czynną kuźnię wodną w gdańskiej Oliwie) poprowadzono wręcz zachwycająco. Punktem kulminacyjnym jest słynny rezerwat krajobrazowy Jar Rzeki Raduni, z jego wysokimi skarpami zbiegającymi stromo do bystrej rzeki.

Jeśli chcemy doświadczyć podobnych wrażeń, wcale nie musimy jechać na Pomorze. Wspominany już wielokrotnie Szlak Kopernikowski, który biegnie w okolicach Pięknego przez Dolinę Rzeki Wąszy, dostarczy takich samych przeżyć jak jar Raduni. Zresztą już w samym Olsztynie warunki do uprawiania pieszej turystyki są wręcz idealne. Szeroki wybór krótkich i długich szlaków pozwoli zaplanować zarówno wymagającą całodzienną wędrowkę, jak i krótki popołudniowy spacer z dziećmi pozwalający złapać oddech po dniu pracy. Na sam początek przygody z pieszymi wędrowkami idealny będzie żółty Szlak im. Stanisławy i Jana Bałdowskich biegnący z Jakubowa do pętli autobusowej „Jagiellońska-Szpital”. Z pozoru błaha trasa daje szansę odkrycia nowego oblicza znanego, wydawałoby się, Lasu Miejskiego. Warto spróbować pokonać również choćby fragment zielonego Szlaku do Żródeł Łyny, który wiedzie najpierw przez Łynostradę (wielu z was z pewnością widziało podczas spaceru zielone oznaczenia tej trasy), a potem przez rozciągającą się pod Olsztynem dostojną Puszcę Napiwodzko-Ramucką. Myślę, że spokój Rezerwatu Las Warmiński i Jeziora Łańskiego udzieli się każdemu. Wszelkie szczegóły dotyczące tych i innych olsztyńskich szlaków znajdziemy na [www.szlaki.mazury.pl](http://www.szlaki.mazury.pl). Tylko pamiętajmy, że wbrew panującym wśród niektórych turystów przekonaniom – kolor szlaku pieszego nie ma nic wspólnego z jego trudnością, lecz oznacza rodzaj (np. czerwony to zazwyczaj trasa główna i najdłuższa, a żółty – krótka spacerowa).

Warto poszukać swojego szlaku marzeń – najpierw przed ekranem, a potem już w trasie, bez bagażu cyfrowego świata na plecach. Do stracenia nie masz nic, do odkrycia – wiele. A więc – do zobaczenia na szlaku!

GRZEGORZ WESOŁOWSKI – (ur. w 1990 r. na Krajnie) od 2014 r. mieszka w Olsztynie. Zawodowo zajmuje się komunikacją miejską w Zarządzie Dróg, Zieleni i Transportu. Prywatnie jest pasjonatem turystyki każdego rodzaju. Od najmłodszych lat intensywnie podróżuje – głównie po Polsce. Nie stroniąc od miejsc na pozór nieatrakcyjnych, próbuje dotrzeć w każdy zakątek kraju. W latach 2015-2020 aktywnie działał w Akademickim Klubie Turystycznym przy UWM.

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

BOGDAN WOJCIECH BARTKOWSKI

## z cyklu *Falowanie*

Prezentowane akwarele są pokłosiem, odbiciem i kontynuacją asamblaży z różnych okresów i cykli ich powstawania, które budowałem nieprzerwanie od 2003 roku. W myśl zasady, że trzeba się twórczo zmieniać, aby nie popaść w rutynę, zacząłem stosować kompletnie inną technikę realizacji prac – akwarelę. Zmiana ta zmusiła mnie do przestawienia moich manualnych nawyków i warsztatu, który znałem od zawsze, na inne, wydawałoby się łatwiejsze, działania twórcze. Zamieniłem techniczne sprzęty i narzędzia na delikatne, lekkie i ascetyczne przybory malarskie, a trudne w obróbce materiały asamblażowe na znakomitej jakości papiery i farby akwarelowe. Moje asamblaże i akwarele poza tym, że oba pojęcia rozpoczynają się na literę „a”, łączy myślenie o postrzeganiu Świata i Życia, w których z mozołem uczestniczę. Ciężkie asamblaże i lekkie akwarele to dwa różne istnienia, ale jeden wspólny wątek – uwielbienie Natury, gdzie Materia to słowo klucz i wyznacznik moich prac. Musi być szorstko, nieco brudno, przestrzennie, ale z domieszką minimalizmu i aksamitu. Żeby nie było za pięknie, nagle wkrada się zniechęca gest wykonany szerokim, starym pędzlem – taki sam, jaki w asamblażach robiłem grubym ściernym papierem lub heblem. W horyzontalne kompozycje i układy wplątam dygresje, wszelakiej maści naturalszczyków i aktorów pierwszego i drugiego planu. To powietrze, chmury, przestrzeń i światło. To woda, wilgoć, łąki, lasy, pustkowia, mchy i porosty, nadmorskie i jeziorowe plaże, drobiny i okruchy ich mieszkańców. To samotne wyspy, zmienne, tajemnicze, nieoczywiste, pełne prostych kształtów, pionów i poziomów, a chwilę później krzywizn, elementów obłych.

To wreszcie przedstawianie wizji Świata Natury, które oddają poprzez uniwersalną metaforę falowania.

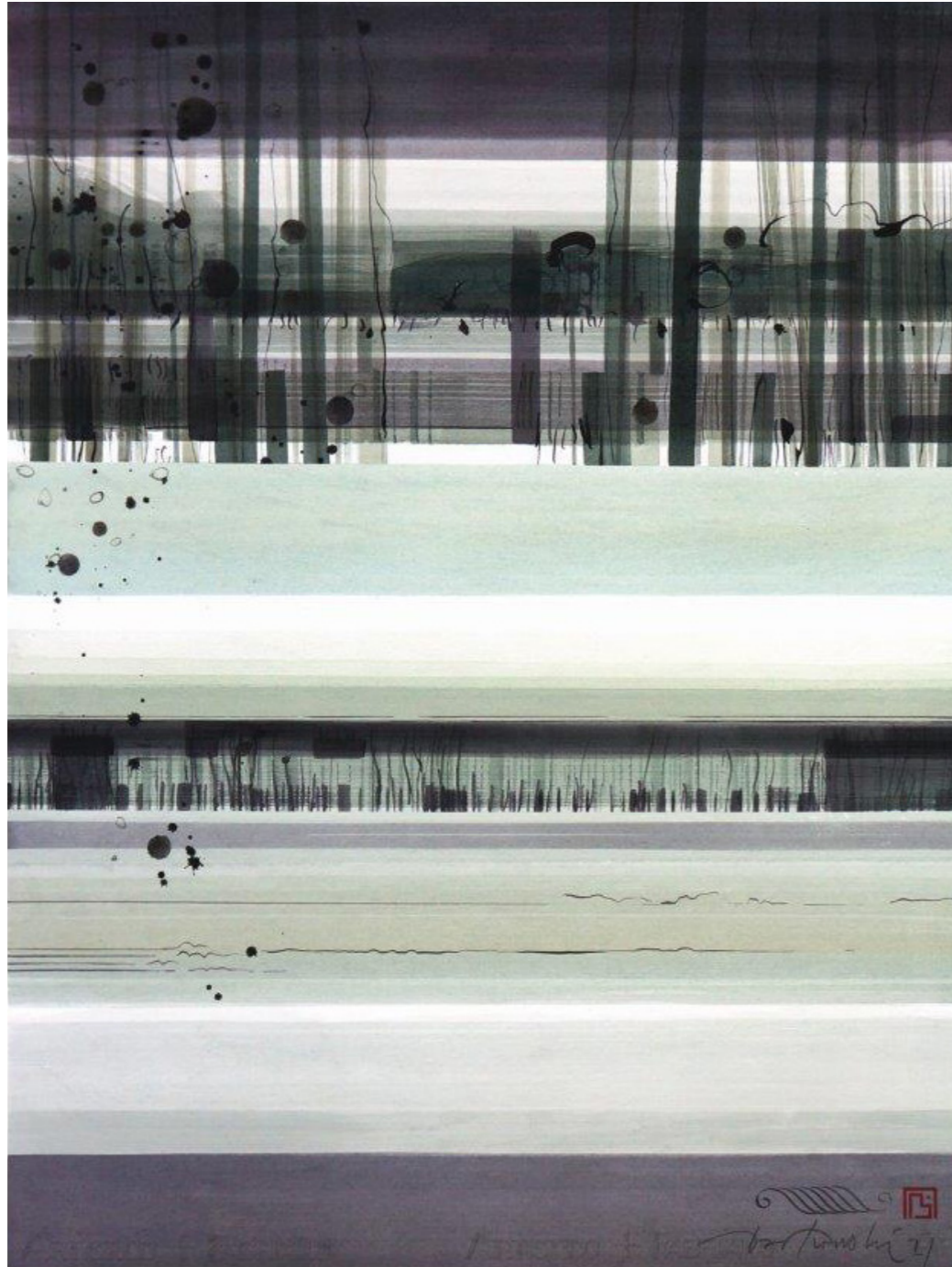
Technicznie inne, ale spójne myślowo i uczuciowo prace dedykuję wszystkim, którzy stoją na straży prawdy, dobra i piękna.

BOGDAN WOJCIECH BARTKOWSKI – (ur. 1958 r.) absolwent PWSSP w Gdańsku (1979-1984 r.). Dyplom obronił u prof. Jerzego Krechowicza z projektowania graficznego. Grafik, artysta interdyscyplinarny. Twórca plakatów, grafiki użytkowej, form przemysłowych i projektant wnętrz. Autor fotografii, scenografii, obiektów, instalacji, obrazów. Prace prezentował na wielu wystawach w kraju i za granicą. Od 2014 r. jest kuratorem Galerii Taras Port 110 w Iławie. W 2006 r. wyróżniony Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.



BOGDAN WOJCIECH BARTKOWSKI

# Falowanie



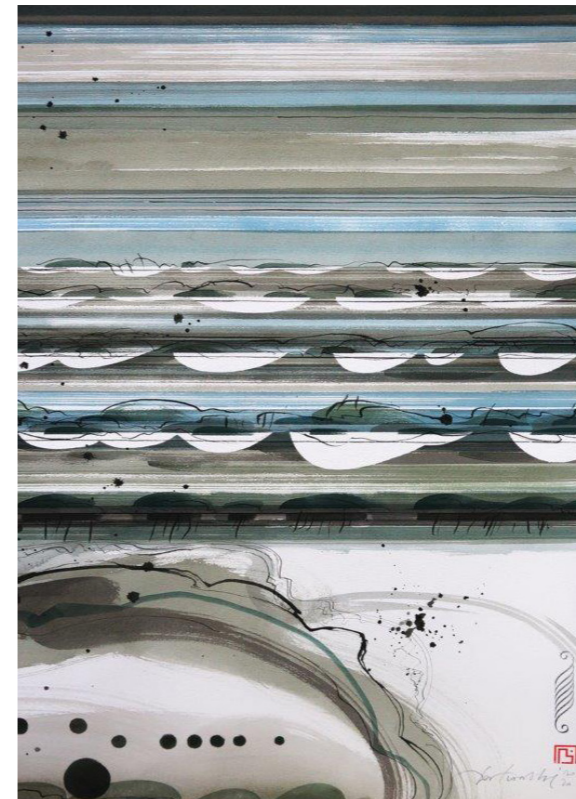
Falowanie 4, 76 x 56, 2021



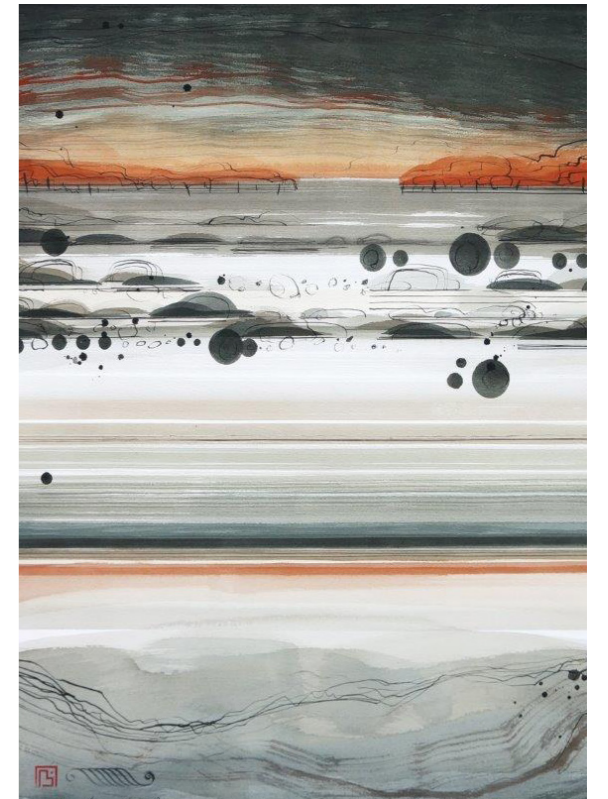
Falowanie 1, 70 x 50, 2021



Falowanie 3, 76 x 56, 2021



Falowanie 5, 76 x 56, 2021



Falowanie 6, 76 x 56, 2021

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

## Olsztyński łapacz snów

*Oto sen. Prawdziwy, mocny i przejmujący, który rzeczywiście zaistniał w czyjejs głowie, a potem został nam opowiedziany.**A my... interpretujemy – na dwa głosy. Zapraszamy do sennego świata, który rozciąga się nad naszym miastem.*

## SEN A.R.

Jakże to było piękne, o, jak piękne! Stałam w mojej nowej mięciutkiej piżamie z obrazkiem różka lodów na bluzie i nawet nie czułam, czy stoję boso na bruku ulicy Kołłątaja, czy wraz ze mną przeteleportowały się tutaj również moje kapcie. Choć i tak nie mogłam zrobić nawet kroku – i z zachwytu, i z przerażenia. Bo przede mną widziałam niezwykle stos! Złote, opalizujące płomienie sięgały z mocą nieba, a dziko wirujące iskry czyniły z tej sceny czarujące dynamizmem widowisko. Stary Ratusz płonął. Płonęły osłe grzbiety, płonęła wieżyczka, płonęły drewniane skrzydła okienne i płonęły tysiące woluminów. Wokół poruszającej się w plazmie światła i gorąca bryły krążyły dziesiątki bibliotekarzy, którzy próbowali ugasić żywioł. Wyglądali jak wyznawcy jakiejś pierwotnej wiary, gdy nieustannie wznosili ku górze ramiona, próbując siłą woli uspokoić ogień. Raz ręce poruszały się niczym skrzydła ptaków, innym razem regularny ciąg ramion przypominał meksykańską falę, a lawirujący wśród gasicieli informatyk wyróżniał się, gdyż podnosił kończyny w systemie dwójkowym. Między bibliotekarzami przesuwawała się spokojna i odmienna w swych czynnościach sylwetka ich przełożonej, która dzierżyła w dłoniach konferencyjną podkładkę z kartką i notowała metodycznie nazwiska obecnych.

No, tak – pomyślałam – wszystko kiedyś sponie, ale porządek musi być.

Anna Rau



Rys. Iwona Bolińska-Walendzik

Pali się, pali!

Olsztyński Stary Ratusz stanął w ogniu.

Biegają mrówki dookoła.

Gasić trzeba, gasić.

Płomienie sięgają nieba niczym na obrazie malarza R.

Mrówki biegają, kto nie gasi, ten w notesie zanotowany.

Pali się, pali!

Mrówki mają pełne ręce roboty.

A ja stoję z boku.

Ręce wyciągam do mrówek, lecz stoję.

Jeden kroczek nawet niemożliwy.

Iwona Bolińska-Walendzik

MICHAŁ OSTROWSKI

## W poszukiwaniu sensu... . .

## O małych wielkich podróżach z literaturą w roli (prawie!) głównej

Obserwując współczesny świat, a zwłaszcza krzyczące zewsząd billboardy i wchodzące w najmniejszą szczelinę prywatności media, trudno nie ulec wrażeniu, że obracamy się w epoce permanentnego przebudzowania, „pożerającego” coraz więcej sfer naszego życia. Pogląd ten, niebędący w ogólnym dyskursie żadnym *novum*, najcelniej spuentowała w swoim odczycie „najmłodsza” z rodzimych laureatów Nagrody Nobla Olga Tokarczuk: „Nie zauważamy, że świat staje się zbiorem rzeczy i wydarzeń, martwą przestrzenią, w której poruszamy się samotni i zagubieni, miotani czyimiś decyzjami, zniewoleni niezrozumiałym fatum, poczuciem bycia igraszką wielkich sił historii czy przypadku. Nasza duchowość zanika albo staje się powierzchowna i rytualna. Albo po prostu stajemy się wyznawcami prostych sił – fizycznych, społecznych, ekonomicznych – które poruszają nami, jakbyśmy byli zombi”. Do owego przykrego stanu rzeczy przystawia trzy grosze dorzuciła pandemia, która spotęgowała nasze wyobcowanie, wrażenie poruszania się w rzeczywistości wykreowanej przez kiepskiego reżysera, wreszcie chorobliwą tendencją unikania kontaktu z „żywym” człowiekiem dla jakiegoś abstrakcyjnego, obopólnego dobra. Gdy dodamy do tego obsesyjne poczucie istnienia sił, które – niczym niewidzialne ręce – pociągają za sznurki naszego bycia, i nieposiadanie instrukcji do radzenia sobie z wywoływanymi przez wspomniane okoliczności emocjami, otrzymamy jedną, wielką samotność, a samotność – parafrazując kultową piosenkę Dżemu – to przecież taka straszna twoga.

Po głębszym zastanowieniu okazuje się jednak, że nie taki diabeł straszny i że w gruncie rzeczy – jak pisze w *Ferdydurke* Witold Gombrowicz – „samotność jest wypychająca”, toteż wcale nie tak trudno znaleźć na nią sposób. Jednym z nich okazują się małe wielkie podróże, zarówno w głąb siebie, jak i na zewnątrz, co najlepsze – obie z dożywną ważnością karty przejazdowej!

Patronem pierwszego rodzaju podróży niech będzie Hermann Hesse. Powieści

niemieckiego pisarza dotykają spraw egzystencji, są swoistym zaproszeniem do jungowskiej indywiduacji – procesu stawania się autonomicznym, zgodnym ze sobą, mimo potencjalnych niepowodzeń, elementem wszechświata. Za pośrednictwem kreowanych przez siebie postaci (Demian, Siddhartha czy Harry Haller), dwudziestowieczny noblista zdaje się manifestować wciąż jeden i ten sam pogląd, że „życie każdego człowieka – to jego droga do samego siebie, do stania się samym sobą”. Czy istnieje atrakcyjniejsza oferta turystyczna od tej dedykowanej refleksyjnej naturze, która pozwala na rozeznanie się w swojej mocy i słabości jednocześnie?

Życie byłoby zdecydowanie uboższe bez możliwości podróżowania „na zewnątrz”. Mowa tu o znalezieniu równowagi rozpiętej między żydowskim aforyzmem „każdy dla siebie jest najbliższym krewnym” a hamingwayowską myślą, że „żaden człowiek nie jest samotną wyspą” – o możliwie jak najczęstszym wychodzeniu ze strefy komfortu, o otwieraniu się na innych i ćwiczeniu się w deficytowej empatii.

Istnieją ludzie, którzy w zależności od okoliczności podróżują w obie strony. Do takich osób niewątpliwie zaliczam się i ja. W poszukiwaniu swojego prywatnego sensu, mając po kokardy filozofowania, zgłosiłem się pod koniec czerwca jako wolontariusz do świeżo otworzonego w Olsztynie Stacjonarnego Hospicjum dla Dzieci, gdzie umiłam czas trzem niezwykle bystrym i tętniącym chęcią do życia chłopcom z dystrofią mięśniową Duchenne’a, którzy tak jak ja jeżdżą na wózku.

Gdy wracałem kilka dni temu od „trzech wojowników ninja”, zauważyłem siedzącego na przyosiadkowej ławeczce, schorowanego, starszego pana, z którym nawiązałem bardzo miłą rozmowę o przyziemnych rzeczach. Zanim w świetle lamp wymieniliśmy się życzeniami spokojnej nocy, pan wskazał na swój sfatygowany chodzik i powiedział: „Wie Pan, młody człowieku, co łączy życie, kobiety i kręgosłup? Bola”.

I w tym przypadkowym spotkaniu też ukryty był jakiś głębszy sens...

Rys. Iwona Bolińska-Walendzik

KATARZYNA KUJAWA

## Święta Warmia: sanktuaria, kościoły, kapliczki i...?

W 2020 r. Starostwo Powiatowe w Olsztynie rozpoczęło realizację nowego projektu turystycznego – Szlaku Świętej Warmii. W ramach działań promocyjnych projektu w tym samym roku został wydany przewodnik książkowy autorstwa Wojciecha Krzysztofa Szalkiewicza. Tytułowy Szlak Świętej Warmii to trasa łącząca dwie lokalne odnogi Drogi św. Jakuba – warmińską (prowadzący od Świętej Lipki do Gietrzwałdu odcinek trasy Camino Polaco) i pomorską (biegnący od Braniewa do Elbląga odcinek trasy Via Baltica). Nowy szlak częściowo pokrywa się z najpopularniejszym na Warmii Szlakiem Kopernikowskim. Wśród jego 16 stacji znajdują się sanktuaria w Gietrzwałdzie, Głotowie, Stoczku Klasztornym, Bisztynku, Świętej Lipce, Tłokowie, Krośnie, Chwałęcinie i Braniewie oraz inne miejsca związane z historią i wybitnymi postaciami regionu, jak trakt biskupi w Bałdach, zamek kapituły i konkatedra św. Jakuba w Olsztynie, kolegiata w Dobrym Mieście, zamki biskupie w Lidzbarku Warmińskim i Reszlu, zespół budowli Wzgórza Katedralnego we Fromborku.

Jak wskazuje podtytuł, książka jest czymś więcej niż tradycyjnym przewodnikiem pielgrzymkowym; autor kieruje ją również do osób odwiedzających miejsca kultu w celu poznania kultury duchowej i materialnej regionu oraz podróżujących „ze zwykłej ciekawości, z chęci zobaczenia miejsc, o których kiedyś czytali lub słyszeli”.

Na uwagę zasługuje uwzględnienie w publikacji miejsc dotychczas pomijanych w większości przewodników – np. pałacu biskupiego w Smolajnach, cerkwi grekokatolickiej św. Mikołaja i Centrum Kulturalno-Bibliotecznego w Dobrym Mieście, Muzeum Misyjno-Etnograficznego Księży Werbistów w Pieniężnie – bądź niedawno udostępnionych do zwiedzania, np. Oranżerii Kultury w Lidzbarku Warmińskim czy Muzeum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie.

Właśnie to wzbogacenie publikacji o obiekty świeckie, jak zamki, pałacyki, muzea, zabytkowe miejskie układy architektoniczne, odróżnia książkę Wojciecha Szalkiewicza od wcześniejszych przewodników ks. Henryka Madeja i Józefy Piskorskiej<sup>1</sup>, Tadeusza Chrzanowskiego<sup>2</sup>, ks. Krzysztofa Bielawnego<sup>3</sup>, czy s. Janiny Bosko i ks. Jacka Macieja Wojtkowskiego<sup>4</sup>, prezentujących wyłącznie warmińskie sanktuaria bądź kościoły o szczególnej wartości zabytkowej. Podczas gdy wspomniane przewodniki

koncentrują się na dokładnym opisie architektury i dzieł sztuki oraz – często, choć nie zawsze – rysie historycznym poszczególnych obiektów sakralnych, autor *Szlaku Świętej Warmii* dąży do ujęcia całościowego i przybliżenia czytelnikom historii i kultury Warmii, rozbudzenia zainteresowania odbiorcy regionem jako obszarem atrakcyjnym turystycznie oraz dalszego odkrywania kolejnych szlaków i atrakcji. Słży temu czytelny i przejrzysty układ treści podzielony na 16 rozdziałów odpowiadających poszczególnym stacjom szlaku, poprzedzonych rysem historycznym krainy, wprowadzeniem w krajobraz kulturowy Świętej Warmii i mapą szlaku, a zakończonych informacją o pozostałych trasach turystycznych regionu oraz kalendarium najważniejszych wydarzeń z jego historii. Architektura i dzieła sztuki w omawianych obiektach potraktowane są w książce Szalkiewicza dość skrótowo; dużo więcej miejsca poświęca autor historii ich powstania i związanym z nimi legendom, prawdopodobnie ze względu na większą atrakcyjność i przyswajalność tych treści dla zwykłego turysty w porównaniu ze szczegółami z zakresu historii sztuki.

Zaletami publikacji Szalkiewicza są prosty, przystępny język i zwięzłość opisów, wyczerpujące objaśnienie pojęcia Świętej Warmii oraz różnic etnicznych i kulturowych między Warmią a Mazurami, zwrócenie uwagi na problem zanikania tych różnic w świadomości społecznej mieszkańców regionu wskutek zmiany struktury narodowościowej ludności po 1945 r., aktualność prezentowanych informacji. Kolejnym atutem książki jest szata graficzna: doskonałej jakości zdjęcia Witolda Mierzejewskiego, atrakcyjna wizualnie okładka z reprodukcją obrazu *Panorama Warmii* białoruskiej malarki Anastazji Fietisowej, papier kredowy oraz logo szlaku – muszla św. Jakuba z umieszczonym wewnątrz Barankiem Bożym, godłem archidiecezji warmińskiej.

Mimo iż *Szlak Świętej Warmii* przeczytałam z przyjemnością, odczuwam niedosyt z powodu elementów, których moim zdaniem w nim zabrakło. Jeden z nich to brak podpisów pod fotografiami i mapami. O ile w rozdziałach poświęconych poszczególnym miejscowościom nie są może konieczne, ponieważ z tytułu i treści rozdziału na ogół wynika, który obiekt jest przedstawiony na zdjęciu, o tyle powinny się znajdować pod fotografiami wsi, jezior i kapliczek oraz mapami we wstępie, rysie historycznym i zakończeniu. Wprawdzie nie jest to publikacja naukowa, uważam jednak, że w wydawnictwach popularnych, zwłaszcza przeznaczonych dla turystów, każda ikonografia i kartografia powinna być podpisana, aby zachęcić ich do samodzielnego odszukania i odkrywania uroków prezentowanych miejsc. Kolejne zastrzeżenie dotyczy pominięcia w publikacji wielu miejsc i postaci ważnych dla historii i kultury Świętej Warmii: sanktuariów w Międzyzlesiu, Klebarku Wielkim i Bartągu;

zabytkowych kościołów w Gutkowie, Sząbruku, Jonkowie, Jezioranach, Barczewie, Brąszwałdzie; Domu „Gazety Olsztyńskiej” Muzeum Warmii i Mazur; sylwetek bł. Reginy Protmann – założycielki zakonu sióstr katarzynek, poetów i wydawców Andrzeja Samulowskiego i Jana Liszewskiego, członków rodziny Pieniężnych – redaktorów i wydawców „Gazety Olsztyńskiej”, ks. Jana Hanowskiego – proboszcza parafii św. Jakuba w Olsztynie, który uratował olsztyńskie kościoły przed spalaniem przez Armię Czerwoną w 1945 r. O postaciach tak zasłużonych dla kultury regionu, jak Feliks Nowowiejski, ks. Walenty Barczewski, Maria Zientara-Malewska czy Alojzy Śliwa, znalazłam w przewodniku jedynie krótkie wzmianki. A przecież Warmia to również bogactwo kultury ludowej i współczesne próby jej odtworzenia, własna tradycja kulinarna, kilkusetletnie tradycje rzemieślnicze (zwłaszcza pszczelarskie, tkackie, browarnicze, snycerskie i złotnicze), obfitość szlaków pieszych, rowerowych i kajakowych. O tych aspektach dziedzictwa regionu autor zaledwie wspomina, a moim zdaniem zasługują na dokładniejsze przedstawienie w odrębnych rozdziałach. Pocięsza mnie zapowiedź na stronie internetowej projektu szlakswietejwarmii.pl, że większość wyżej wymienionych miejsc i osób zostanie omówiona w przygotowywanym do druku suplementie pt. *Okolice Świętej Warmii. Podpowiednik turystyczny*. Dzięki temu uzupełnieniu, przedstawiony obraz Warmii wyszedłby – taką mam nadzieję – poza stereotyp Świętej Warmii jako krainy sanktuariów i kapliczek, miejsca działalności Kopernika i kardynała Hozjusza, internowania kardynała Wyszyńskiego, wypoczynku Karola Wojtyły i pielgrzymki papieskiej Jana Pawła II; stałby się barwniejszy, wielowymiarowy, a przez to bardziej atrakcyjny dla turystów, na czym cały projekt wiele by zyskał. Czekam z niecierpliwością na suplement.

Szalkiewicz, Wojciech Krzysztof (tekst) / Mierzejewski, Witold (fot.), *Szlak Świętej Warmii. Przewodnik turystyczno-pielgrzymkowy*, Olsztyn, Powiat Olsztyński / Agencja „WIT” Witold Mierzejewski, 2020.

KAROLINA LEWANDOWSKA

## Erasmus Way

Pieszko, pociągiem, busem, samochodem, samolotem. Byle do celu.

Szlak prowadził do granicy – muru, którego bez specjalnego paszportu nie dało się przekroczyć. Terminy goniły, a trzeba było zrealizować projekt według wytycznych, według planu sprzed epoki covid (z roku 2019), bo przecież ciąży na uczestnikach rozliczenie finansowe. Psychologia strachu działała. Co będzie, jak coś się nie powiedzie, a dyplom skończonego kursu nie będzie podpisany w odpowiednim miejscu właściwym kolorem markera?

Labirynt książek kolejnej odwiedzonej biblioteki nie dawał odpowiedzi, która droga prowadzi do lepszego świata, jak się zachować w czasie wędrowki. Znalezione mapy okazywały się nieprecyzyjnymi planami, Google Maps gubiły zasięg... Każde odwiedzone miasto, poznany język, jak w grze, dawały tysiące możliwości na realizację erasmusowych założeń – Koper, Bielefeld, Budapeszt, Praga.

A w Pradze warsztaty z gier, komunikacji i z tworzenia tradycyjnych czeskich marionetek. Mimo początkowych problemów z terminami i zgodami, na letnim festiwalu w Czechach świeżo wyrzeźbiony z drewna lipowego Czerwony Kapturek w koszyczku – jak od wieków – targat wino dla babci ku zdrowotności, by mama jego miała chwilę wolnego dla pana gajowego. Wilk elegancko zagadywał, by po chwili już w ciepłym przytulnym domku okazał zdradziecki charakter i połknął babkę, wnuczkę i co się jeszcze da, by nasycić swoje hedonistyczne żądze. Tym razem spotkała go kara...

Jak tę historię i inne doświadczenia z wyjazdów w ramach programu Erasmus+ „Tak możemy... w bibliotece” wykorzystamy w bibliotecznym projekcie? Dowiedz się, odwiedzając naszego bloga: <https://takmożemywbibliotece.blogspot.com>.



Fot. Karolina Lewandowska

ANNA RAU

## Podróż między zapomnieniami

Herby są niezwykle ciekawą pozostałością po dawnych wiekach, choć niestety obecnie dla nas raczej mało czytelną. Wraz z upływem czasu i zmianami kulturowymi zanikła w nas wiedza, co symbolizują wizerunki na tarczach herbowych: te wszystkie mityczne zwierzęta, obcięte głowy, wyrastające z przestrzeni dłonie, tiary, mitry, miecze i topory, drzewa, baszty bez mieszkańców oraz zawieszane w powietrzu postaci świętych. Nie wiemy też, o czym informują barwy tych motywów oraz samych pól – tak zdawałoby się niepotrzebnie podstawowe i ograniczone. Inaczej mówiąc, wędrówka przez herbarz miast to nie tylko droga przez symbolikę i miejsca, ale też przez czas.

W Warmińsko-Mazurskiej Bibliotece Cyfrowej w kolekcji olsztyńskiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego można odnaleźć druk ulotny „Herby woj. olsztyńskiego” z ok. 1955 r., akcydens, wydawałoby się skromny, a jednak jakoś w swej powściągliwości (szary papier, brak kolorów) piękny. Każda ze stron przedstawia bowiem herb jednego z 46 miast naszego ówczesnego województwa – oczywiście w wersji przed zmianami administracyjnymi. Całość zaczynają Barciany – surowy, pojedynczy topór, a kończy Zalewo – św. Jan Ewangelista pobożnie znoszący wyrafinowane cierpienie w kadzi. Bardzo to jest ciekawe, iż ta przypadkowa bądź co bądź kolejność miejscowości w ogólnym układzie wojewódzkim i tak niejako oddaje historię naszych ziem. Topór bowiem, tłumaczący pochodzenie nazwy „Barciany” (jako że *Barte* to w języku staroniemieckim właśnie *topór*), mógłby symbolizować dawne czasy i plemię wojowniczych Bartów zamieszkujących Barcję, natomiast św. Jan – to, co nowe i co przyszło dla tych ziem wraz nastaniem chrześcijaństwa. Oto cała natura herbów – symbolizują, co tylko mogą, na wielu poziomach i metaforyzują przestrzeń samym swoim istnieniem, zwłaszcza zbiorowo. Miniherbarz zawiera więc wiele pozostałości po najstarszej historii naszego regionu, czyli symbole przedchrześcijańskie (zwierzęta, broń, postacie tzw. dzikich mężów), choć oczywiście wszystkie z nich powstały już w czasach panowania „nowej” religii, niektóre zaś wręcz współcześnie. Do nawiązujących do legendarnych czasów „wielkich Prusów”, czy innych narodów zamieszkujących nasze ziemie w dawnych czasach, z pewnością należy choćby herb Nidzicy, z którego wygląda ku widzom dziki mąż (czyli pogański Prus) z mieczem w jednej ręce oraz lilią andegawęńską w drugiej. Jednak trzeba przyznać, że większość regionalnych tarcz herbowych nawiązuje do bogatej symboliki chrześcijańskiej, uwieczniając postaci świętych lub duchownych i ich atrybuty, lub „święte przedmioty” typowe dla sfery sacrum katolickiego (mitry i pastorały biskupie, krzyże). Święci przedstawieni na tarczach herbowych

najczęściej są jednocześnie patronami głównego kościoła (lub wręcz katedry) miejscowości: i tak Działdowa strzeże św. Katarzyna Aleksandryjska, Olsztynka – św. Piotr z wielkim kluczem, a Pisz – św. Jan Chrzyciel (pod postacią dość makabrycznego obrazu samej ściętej głowy na misie). Z reguły tej wyłamała się Ostróda, której herbowy św. Jerzy nie posiada w mieście własnej świątyni, podobnie jak aniotowie z tarczy Barczewa. Spośród wszystkich świętych najliczniej reprezentowana jest w heraldyce regionalnej Matka Boża: w godłach Iławy (z Dzieciątkiem tronująca), Pasymia (jako Królowa z Dzieciątkiem w łuku bramy) oraz Fromborka (stojąca na murach grodu, bez Dzieciątka, czyli w wersji graficznej sprzed reformy administracyjnej). Herbowe motywy sakralne to również zwierzęta-atrybuty m.in. świętych, czyli np. złoty orzeł św. Jana Ewangelisty (Kisielice), baranek z chorągiewką symbolizujący zmarłych Chrystusa (Lidzbark Warmiński) albo i „figury” funkcjonujące w ikonografii chrześcijańskiej – stylizowany pielgrzym na szlaku św. Jakuba (Morąg), mitra biskupia na tle murów (Biskupiec Reszelski) oraz pastorał na skale (Biszynek). Wiele herbów nawiązuje po prostu do nazwy miejscowości, którą symbolizują, np. herb Miłomłyn to koło młyńskie z krzyżem równoramiennym w środku, Młynar – koło młyńskie z wkomponowanym w nie i porośniętym liśćmi konarem drzewa, a Pieniężna (*Mehlsack* – „worek mąki”) – trzy worki mąki, miecz i krzyż (jako że Pieniężno było własnością kanonii warmińskiej, czyli Kościoła). Kilka miast z kolei uczciło swoich założycieli, uwieczniając ich na herbach: Pastęk (herbowy rycerz pędzący na koniu to zasadzca miasta, Meinhard von Quertfurt z Elbląga), Orzysz (ukoronowany orzeł czarny króla pruskiego Fryderyka, który nadał miejscowości prawa miejskie plus skrzyżowany miecz i buława oraz róg obfitości), Nowe Miasto Lubawskie (lew oraz kwiat dzikiej róży z godła dwóch postaci związanych z początkami osady – Ottona von Lautenberg i Ditricha von Altenburg), Węgorzewo (wieża z wizerunkiem orła z rozpostartymi skrzydłami – godło księcia Albrechta Fryderyka) oraz Bartoszyce, na których tarczy herbowej znajduje się wspaniale uzbrojony rycerz krzyżacki na koniu.

Od wieków po tarczach herbowych regionu hasają również zwierzęta, choć nie jest to zróżnicowane gatunkowo towarzystwo: jelenie (Dobre Miasto, Miłakowo, Ryn, Szczytno), niedźwiedzie (Kętrzyn, Mrągowo, Reszel), jak też pewien lis z upolowaną gęsią niesioną triumfalnie w pysku (Górowo Iławeckie) oraz... jednorożec (Lidzbark Welski). Oczywiście zwierzęta te są związane z lokalnymi podaniami, które łączy jedno – najczęściej fatalnie zakończenie dla zwierząt. A skoro, jak wiadomo, nawet jednorożec nie ocalał swej szlachetnej głowy, to co powiedzieć o smokach regionalnych (Tak! Mieliśmy na Warmii – oczywiście według legend – smoki!), po których właśnie

tylko wizualne wspominki na tarczach herbowych zostały. Obecnie wielkie jaszczury, mimo iż na pewno (tak jak kiedyś) byłyby lekko kłopotliwe dla miejscowej ludności, z pewnością zostałyby otoczone opieką jako gatunki chronione. W średniowieczu nie przejmowano się takimi sprawami i zostało po nich tylko wspomnienie na herbie Ornety (istnieją przypuszczenia, że smok ów mógł być krewnym skandynawskich lindwormów). Jedyny ptak w herbarzu – prócz oczywiście licznych orłów pruskich czy polskich – to heraldyczna czapla Srokowa (wraz z lilią andegawęńską), przedstawicielami ryb zaś w naszej heraldyce są trzy leszcze z Giżycka.

Bardzo ciekawą grupą herbów z opisywanego druku są te już „nieaktualne”, czyli stanowiące wersję graficzną odmienną od obecnie obowiązującej. Ukazują one, że nawet herby, mimo że operują metaforami graficznymi dawnymi i uniwersalnymi, zmieniają się. Mieszkańców stolicy regionu zapewne zaciekawia herb Olsztyna w odmianie średniowiecznej (św. Jakub, brama obronna i półkrzyż, czyli pozostałość po godle kapituły warmińskiej). Podobnie odmienny od współczesnego jest herb Braniewa: w broszurze zawiera jeden element, czyli stylizowaną lipę, na pamiętkę 13 takich drzew rosnących dawno, dawno temu przed bramą miasta, obecna zaś wersja przedstawia jeszcze smoka i jelenia. Część miast zrezygnowało po reformie administracyjnej z symboli nawiązujących do czasów Prus, np. Jeziorany (dawniej czarny orzeł nad murami zamku i gałązka o równomiernie rosnących liściach – współczesny herb orła już nie zawiera) oraz Wielbark (ukoronowany orzeł króla pruskiego Fryderyka – obecnie zaś brama z rycerzem stojącym na straży oraz dwie choinki). W herbarzu pojawiają się wreszcie i godła miejscowości, które już nie należą do naszego województwa, np. Biskupca Pomorskiego (orzeł św. Jana Ewangelisty) oraz Prabut, obecnie pomorskich (dziki mąż na tle bramy miejskiej). Jak widać, jeden dokument życia społecznego (a takim jest formalnie opisywany akcydens) rzeczywiście potrafi w zawaolowany sposób przedstawić nawet historię zmian administracyjnych województwa.

Kiedyś znawców i interpretatorów herbów miast i rodów było wielu, gdyż stanowiło to niezbędny element „szlachetnej” edukacji, obecnie znajomość heraldyki to raczej domena pasjonatów oraz oczywiście historyków. W jakiś sposób zubożyło to naszą zbiorową świadomość wiedzy regionalnej. Ale nic nie jest stracone. Wystarczy wejść do WMBC, obejrzeć pewien mały herbarz, a potem przez chwilę postudiować informacje, które poniekąd sam podsuwa nam Internet, i znowu wraca do nas kolorowy korowód postaci, zwierząt, przedmiotów o podwójnej, potrójnej, czasem wręcz szkatułkowej konstrukcji znaczeniowej. I historia znowu staje przed nami otworem. A swoją drogą, może każdy i wszystko powinno mieć swój herb?

AGNIESZKA WADOWSKA

## Prosta droga do pięknego życia

Poranki na rowerze są zawsze przepiękne. Z osiedla skręcam do parku i jadę stylem kontemplacyjnym, ale bywa, że i odrzutowym, zdana na łaskę i niełaskę czasu, jaki został do wybicia godziny siódmej, kiedy to zaczynam pracę. Lecę ramię w ramię z meandryczną Łyną, pod osłoną drzew, potem jeszcze hop! przez mostek i już jestem u stóp Staszica. To idealny moment, by zsiąść z roweru i uspokoić zadyszki. Słalosem omijam wyrąbane dziury w chodniku, przeglądam się w witrynie, co się pusta ostała po salonie sukien ślubnych i jak zwykle wpadam w zachwyt nad wystawką sklepową Cepelii ustrojonej w durnostojki, suweniry i gigantycznych rozmiarów chustę w kwiaty, którą nieustannie pragnę mieć.

Mijam jeszcze ulubione okno z nieco wyblakłym napisem „Krawiectwo damsko-męskie. Jan Brzózka”. Pana Brzózka najczęściej widuję późnojesiennymi i zimowymi popołudniami w aureoli złotego światła od lampy, kiedy jest zaprzątnięty pracą. Przypatruję mu się bardzo niedyskretnie w pozie rzeźmieszką i próbuję sobie wyobrazić, jak ta cała pracownia wygląda od środka. Odkryłam ją zupełnie niechcący i odtąd moja ciekawość pchała mnie tam, jakbym intuicyjnie przeczuwała, że nie jest to miejsce zwyczajne i pan Brzózka na pewno nie jest zwykłym krawcem. I kiedy myśl, by tam zajrzeć, zakiełkowałam w mojej głowie, już nie dała spokoju.



Fot. Agnieszka Wadowska

Co ma wisieć, nie utonie więc wreszcie zapukałam do pracowni. Drzwi otwierają się wprost na ciężką zastonę, która łapie i zawraca wiatr, żeby nie mógł hulać w środku. Jest tu naprawdę przedziwnie, więc jestem pioruńsko oczarowana! Już na pierwszy rzut oka widać, że miejsce twarde się zapiera nogami przed upływem czasu i czas tu dosłownie kapituluje, jakby jakieś sześć lub siedem dekad wstecz uniósł ręce w znanym geście i zamarł. Wystrój tylko to potwierdza, więc mamy tu na przykład lśniące lamperie malowane farbą olejną w kolorze hmm... nazwę go finezyjnie musztardowym, ogromny blat z płyty pilśniowej, który jest jednocześnie stołem do krojenia i stanowczo oddziela terytorium krawca od tego, gdzie może przebywać klient. Ubraniowe zwłoki do przeróbki i kunsztowne sztuki tylko co uszyte wiszą na ścianach na sprytnie skonstruowanych wieszakach. Pod wielkim oknem strojnym w suto marszczoną firanę siedzi pan Brzózka pochłonięty wszywaniem zamka.

Na jednym wydechu wypuszczam z siebie, że (ale najpierw – dzień dobry) codziennie tędy przechodzę, bo niedaleko pracuję, że chętnie zrobiłabym kilka zdjęć i porozprawiła z panem o szyciu i życiu, że to też moja wielka pasja, że bardzo kręcą mnie takie kameralne pracownie krawieckie... język płacze mi się niezdarne. Patrzę wyczekująco na pana Brzókę, jakbym chciała go sprowokować do podjęcia jedynej słusznej decyzji. Pan Brzózka najpierw nabiera powietrza i unosi brew w lekkim namyśle, po czym odpala: „Tylu jest ładnych chłopców, a pani chce mnie, dziewięćdziesięcioletniego pryka fotografować?”.

A ja chichram się wreszcie jak normalny człowiek, bo dociera do mnie, że to się uda

i po co ta spina. Kiedy spotykamy się na rozmowę i zdjęcia pan Brzózka przychodzi wystrojony w błękitną koszulę, ma retro szelki, koafiurę prima sort i ten widok wywołuje we mnie ogromne wzruszenie, bo widzę, że podchodzi do sprawy bardzo poważnie.

Rozglądam się oszołomiona po wnętrzu pogrążonym w artystycznym nieładzie i nie wiem, o co najpierw pytać. Najlepiej od razu o wszystko! Pan Brzózka wyciąga z szuflady prawdziwe skarby: zaświadczenie o zdanym egzaminie czeladniczym i dwa kolejne z tytułem mistrza krawiectwa ciężkiego damskiego i męskiego. Muszę przyznać, że te dokumenty w twardych oprawkach, ze zdjęciami i pieczęciami, wypisane wiecznym piórem wyglądają bardzo dostojnie i są tak piękne, że można by je nosić jako biżuterię.

Bardzo mnie ciekawi, jak się to szycie zaczęło. Spodziewałam się historii z fajerkami, jakiejś szalonej miłości do krawiectwa, co się wymknęła rozumowi i zrodziła w niezwykłych okolicznościach. A historia okazała się bardzo prosta. Otóż pan Brzózka jako młody człowiek po skończeniu szkoły musiał nająć się do jakiejś roboty, zdobyć zawód, iść na swoje, odciążyć rodzinę. Wyboru dużego nie miał – mógł zostać szewcem albo krawcem. Padło na krawiectwo, może trochę w owczym pędzie za starszym bratem, który wcześniej się w tej dziedzinie wyspecjalizował. Wiele razy chciał rzucić naukę w cholerę, ale brat przy uzyciu mniej lub bardziej łagodnych perswazji przywoływał młodego i gniewnego Jana do porządku. Czas wkrótce pokazał, że warto było się trochę pomęczyć – pan Brzózka wyruszył

do miasta, by w tempie Strusia Pędziwiatra zdobyć doświadczenie w olsztyńskim Wardomie i ostatecznie, po paru latach, pójść na swoje.

Pan Brzózka przyznaje, że decyzję o przejściu pracowni na Staszica, gdzie do dziś dowodzi, podejmował z duszą na ramieniu. Oszczędności miały wystarczyć na trzy miesiące, a czasy były niepewne. Był epizod ze współnikami, ale to, co mówią jaskółki, i tu się potwierdziło. I bardzo dobrze, bo odkąd prowadzi pracownię sam, wszystko wreszcie kręci się jak w radzieckim zegarku, czy tam szwajcarskim.

Kiedy patrzę, jak precyzyjnie tworzy konstrukcję spodni kreśląc mydłem na materiale, nie mam cienia wątpliwości, że jest bardzo dobrym rzemieślnikiem. Najlepszym dowodem na to są jego klienci, którzy wracają, żeby uszyć im nową garderobę. O reklamę nie dbał, bo nie było właściwie takiej potrzeby. Kiedy wypuścił spod igły kilka garsonków dla studentek z Kortowa, te zrobiły „szof” na mieście i napędzona plotką machina ruszyła, jak szybko mknąca strzała. Mało tego – bardzo często zdarzało się, że zaczynał pracę wcześniej, żeby skończyć ją później i zrealizować jeszcze więcej zamówień. A wyzwania się nie bał – codziennością było szycie garniturów i płaszczy, a i mundury wojskowe i sutanny się zdarzały. Od kiedy podjął decyzję, by nieco zwolnić, już nie bierze tak dużo zleceń, raczej tyle, by mieć z tego czystą przyjemność: „Cieszę, że mogę nadal szyc, mimo zaawansowanego wieku. Że jestem w pełni sił. I naprawdę nie chcę przestać. Kocham to moje szycie”.

Pierwsze skrzypce w pracowni grają oczywiście maszyny do szycia – dwie podstawowe siostrunice. Jedna jest elektryczna, a druga mechaniczna, czyli po prostu napędzana nogą pana Brzózki. Kiedy pan Brzózka wciska pedał jednej z nich, rozchodzi się przemiły dla mego ucha turkot. Są też inne leciwe urządzenia, od których trudno oderwać wzrok: na przykład żelazko, które waży tyle, że muszę użyć obu rąk, żeby je unieść, jest najprostszej budowy na świecie wytwornica pary, czyli sprytnie skonstruowany pędzelek z drobnych gałganków i rynienka z wodą. Jest przymierzalnia z lustrem, która mieści się po prostu za zastonką i wreszcie telefon stacjonarny z kablem sprężynką na półeczce z serwetką. I tylko komercyjna melodia dobiegająca z ukrytego gdzieś radia nastawionego na długość fal dziewięćdziesiąt pięć i trzy ef em trochę się kłóci z nastrojem wnętrza.

„Gdybym siedział, to pewnie bystro bym spróchniał. A te wszystkie aktywności dają mi siłę do działania”.

Śmiało mogę mu odjąć ze trzy dekady z metryki i bynajmniej to nie jest zastuga outfitu, choć ten jest nienaganny. Mówię o tym otwarcie, ale pan Brzózka ani trochę zaskoczony, bo lustro ma i dobrze widzi. Przyznaje, że może to i zastuga dobrych genów, ale sam ma większy udział w tym, że cieszy się dobrą formą. Jest bardzo aktywny i nie wie, co to znaczy zastygnąć w fotelu w miękkich kapciach przed telewizorem, choć zupełnie od telewizji nie stroni. Rano zazwyczaj boksuje na worku treningowym, żeby wzmocnić ręce, potem pije mleko, ale takie prawdziwe, które kupuje od lokalnego gospodarza. Zanim przekreśli klucz w zakładowej kłódce, spaceruje co najmniej godzinę po parku. Praca pochłania go bez reszty – zdarza mu się zapomnieć, że jest głodny. Wieczorami żwawo pedałuje na rowerku stacjonarnym. A o zdrową dietę dba żona.

Pan Brzózka ożywia się bardzo, gdy pytam, jak poznał żonę. Pojechał w świat po zapasy



Fot. Agnieszka Wadowska

materiału podszewkowego, co było sporym wyzwaniem, bo bo pasmanteria nie była dostępna na wyciągnięcie ręki. W czasach, kiedy deficytowe towary wyciągano spod lady, w zdobyciu materiałów i dodatków krawieckich pomagali koledzy po fachu. A przy okazji, bo znali fajną dziołkę, zabawili się w swatów. O ile na początku pan Brzózka był skonsternowany tym pomysłem, to jak ujrzał dziewczynę, stracił głowę. I tak po pewnym czasie przywiózł ją ze sobą do Olsztyna. Mówi, że trafiło mu się jak ślepej kurze ziarno, bo mało, że piękna, mądra, to jeszcze pracowita, oszczędna i serdeczna dla wszystkich. Kiedy on od bladego świtu do nocy kroił spodnie, fastrygował marynarki i zszywał płaszcze, ona dbała o cały dom, dzieci i wszystkie sprawy związane z codziennym funkcjonowaniem rodziny. A i z pędzlem śmigająca po pracowni, kiedy trzeba było ją odświeżyć i pomalować ściany. A jak myślicie, czyje zwinne palce do tej pory obrzucają wszystkie dziurki na guziki?

„Proszę panią, moja żona jest po prostu cudowna!” – mówi pan Brzózka i składa ręce, jakby dziękował całemu wszechświatowi za ten cud.

Pan Brzózka zamierza jeszcze długo żyć i szyc. Wymyślił sobie, że skoro z powodzeniem pracował do emerytury trzydzieści pięć lat, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby na emeryturze popracować drugie tyle. Będzie miał wtedy dopiero sto (!) lat, więc nie będzie to dla niego jakimś wielkim wyzwaniem. Ja też tak myślę. Na koniec przyznaje, że krawiectwo jest wymagającym zawodem, trzeba nadążać za trendami, za zmieniającą się wciąż modą. Ale warsztat to podstawa, a dobry rzemieślnik zawsze idealnie połączy wizję i materiał. I wcale nie jest prawdą, że potrzebny tu jest jakiś wielki talent – wszystkiego można się nauczyć. Trochę się z tym zgadzam, a trochę nie – myślę, że jedyne, czego nie można się wyuczyć w tym zawodzie, a trzeba po prostu mieć w sobie, to pasja. Bez pasji szycie nie pykłoby tak pięknie panu Brzózce. I życie też.



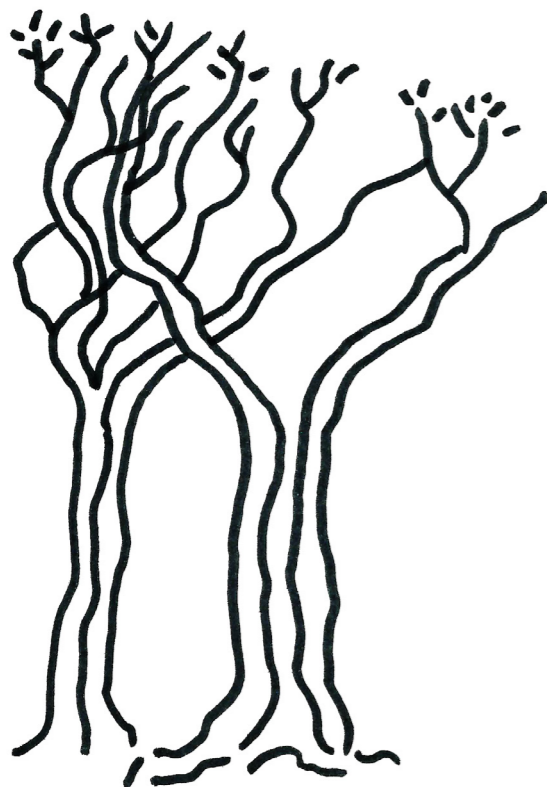
Fot. Agnieszka Wadowska

JERZY BUCZYŃSKI na gwara warmińską przetłumaczył EDWARD CYFUS

## Legenda o dębach w Niedźwiedziu

Działo się to z górą 150 lat temu niedaleko sławnego warmińskiego miasta Olsztyn. Wczesnym latem, pięknego słonecznego dnia, jeszcze przed południem, młoda i krasna dziewczyna o imieniu Ewa wracała leśną drogą z koszem pełnym dorodnych kurek do gospodarstwa położonego nad Jeziorem Perszkowo na skaju wsi Zielona Górka. Gdy doszła do rozdroża, to ukłękła, tak jak czyniła to zazwyczaj. Tu bowiem na dorodnym dębnie zawieszona była kapliczka. Zaczęła odmawiać zdrowaśki. Nagle kątem oka zauważyła, że obserwuje ją przystojny młodzieniec. Widok ten zaburzył jej skupienie modlitewne. Oceniała, że jest wyższy od niej mniej więcej o głowę. Do tego do twarzy mu było w mundurze leśnika.

Tak zaczęła się znajomość Ewy, córki bogatego rolnika i Adama, strażnika leśnego w Lesie Dywickim, który mieszkał z rodzicami w Starkowie na pobliskiej Kolonii Niedźwiedzie Bagno. Adam wybrał drogę życiową, idąc za przykładem ojca, przedtem złożony przysięgę magistratowi olsztyńskiemu.



Rys. Iwona Bolińska-Walendzik

Młodzi od razu przypadli sobie do gustu. Zwłaszcza przez lato i jesień widywali się wielokrotnie. Ich ulubionym miejscem spotkań była altanka położona nad stawem w pobliżu lasu, na skraju Niedźwiedzia, niedaleko od domu rodzinnego Adama. Rokowania co do spełnienia ich miłości były jednak od początku złe. Ewa pochodziła z bogatej rodziny i była katoliczką. Adam urodził się w biedniejszej rodzinie i był ewangelikiem.

Wiosną 1870 r. ogłoszono pobór do wojska. Adam jako dwudziestolatek musiał stawić się przed komisją poborową. Będąc leśnikiem, otrzymał skierowanie do braniewskiego batalionu Jęgrów. Służba miała trwać 3 lata. Przed wyjazdem Adama młodzi widzieli się po raz ostatni. Gdy spotkali się w ulubionej altance, wyznali sobie dożgonną miłość i na jej znak posadzili dwie sadzonki dębu – drzewa, które ich połączyły.

Tuż po okresie rekrucim wybuchła wojna francusko-pruska. 1 Batalion Jęgrów w nocy 28/29 lipca 1870 r. przemarszerował przez Braniewo odprowadzany przez władze i mieszkańców na dworzec. Stąd eszelonem przez Bydgoszcz dotarł do Berlina w dniu 2 sierpnia 1870 r. Z tych miast Adam wysłał Ewie karty pocztowe. Dalej do Francji po chwagę w tej zwycięskiej dla Prus wojnie.

Batalion uczestniczył w kilkunastu bitwach i potyczkach. Szczególnie krwawa była przegrana przez Prusy bitwa pod Borny-Colombey stoczona w dniu 14 sierpnia 1870 r., w której zginęło aż 83 żołnierzy z 1 Batalionu Jęgrów, w tym, niestety, i Adam.

Ewa, gdy dowiedziała się o śmierci ukochanego, postanowiła wstąpić do klasztoru w Chełmnie. Wiosną 1871 r. została przyjęta do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia w kościele znanego pod nazwą Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo Służebnic Ubogich (nazywanych szarytkami). Tak też kilkanaście lat później uczyniły to Justyna Szafryńska i Barbara Samulowska, którym ukazała się w Gietrzwałdzie Matka Boska. Najprawdopodobniej w tym klasztorze spotkały siostrę Magdalę, naszą Ewę. Dęby rosną do dzisiaj i mają się dobrze. Noszą imiona swoich zasadźców. Wkrótce zostaną pomnikami przyrody, ale dla wielu – Pomnikami Wielkiej Niespełnionej Miłości Ewy i Adama. Czy tylko przypadkowo pobliska ulica przy której rosną nosi miano Chełmińskiej?

Olsztyn, 08.06.2021 r.

JERZY BUCZYŃSKI – z urodzenia Mazowszanin, ze świadomego wyboru i z racji zakorzenienia – Warmiak. W Olsztynie od 44 lat. Zawodowo związany z Warmińskim Przedsiębiorstwem Budowlanym i Urzędem Marszałkowskim Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Mieszkaniec Zatorza i Niedźwiedzia od 35 lat. Społecznik i regionalista. Jeden z inicjatorów ustanowienia przez samorząd województwa Dnia Pamięci Ofiar Obu Totalitaryzmów na Warmii i Mazurach.

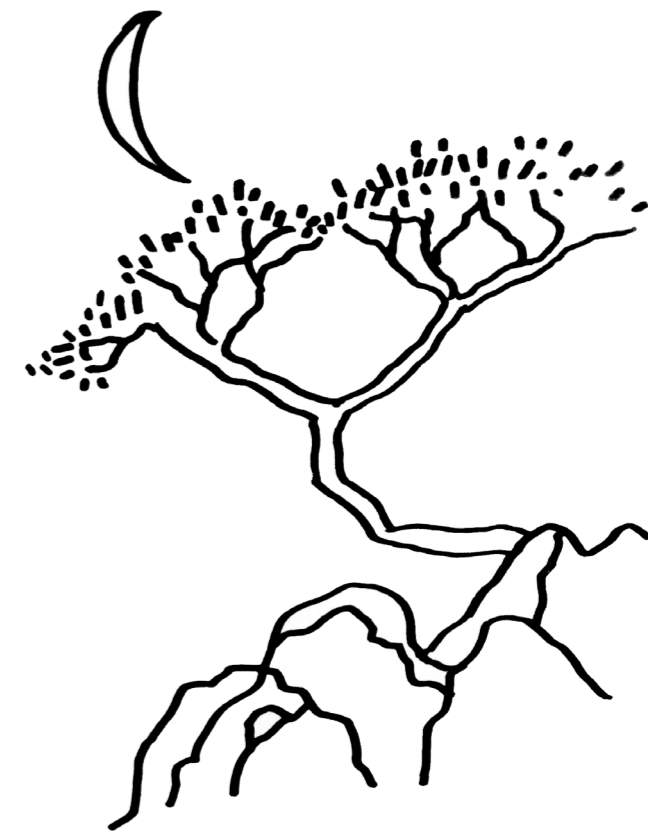
na gwara warmińską przetłumaczył EDWARD CYFUS

## Legenda o dambach w Niedźwiedziu

w Chełmnie. Na ziosna tysiōnc łosiōmset siytōdziesiōnt jedan łostała przyjan-to do Zgrōmadzania Siostrōw Mniōsirdzia w kościele co buł znany jeko ZSM śwentygo Wincanta a Paulo Służebnicōw Łubogych (na niych sia mózi Szarytki). Poranoście łot po tam to samo łuczyniūty Justyna Szafrynsko i Barbara Samulowsko co jam sia w Gyczwōldzie Bosko Matulka pokozāła. Prazie zycher je co musiały tamōj trasić siostra Magdalyna, noszo Yjwa.

Damby rosnō do dzisioj i sō zdrowe. Nazywājō sia tak jek te co jych posodzili. Nie długo sia tostonō denkmalami, ale no gwōłt drugych to bandō denkmale zielgi niespełniōny mniōści Yjwy i Adama. Czy tło bez cufal sztrosa kele dam-bōw sia nazywo Chełminko?

Olsztyn, 08.06.2021 r.



Rys. Iwona Bolińska-Walendzik

Buło to bez sto psiandziesiōnt łot tamōj nazod kele warnijskygo mniasta Łolstyn. Na poczōntku łata w psiankny słōnczny dziań, eszcze do łobziadu. Psiankno, młodo frejlyna szła nazod z lasa drogō z pełnam koszam zielgych gōjskōw do gburstwa kele jyziora Perszkowo na plonach zaro na poczōntku wsi Zielōno Gōrka. Kedy doszła do krzyżōwkōw, to przyklankta tak jek ludzie tu robziō. Tutej na zielgam dambzie buła pozieszōno maluchno kapelka i zaczyła łodmoziac zdrowaśki. Łoroz kōntam łoka łoboczula co sia na nia ślypsio fejny przydōn. Bez to prazie zaboczula co sia modli. Buł łod ni ło głowa wyższy i fejn mu buło w uniformie ferstera.

I tak sia poznali Yjwa, córka bogotygo gbura i Adam, leśnik z dyzickygo lasa, co żuł ze swojami łojcami kele Niedźwydziygo Bagna, na plonach Starkowa. Adam poszed za swojam łojcam co tyż buł leśnikam, ale wprzōd przysiangōł w łolstynskam magistracie.

Młode chibko sia pozbadli i bez lato i jesiań ciałsto buło jych zidać do pospołu w mały altance kele bagna kele lasa przy Niedźwiedziu dzie żuł Adam ze swojami łojcami. Jenōż coby jych mniłowanie chućko sia weselam skōnczulo nie buło prazie nadzieji. Yjwa buła cōrkō bogotygo katolickigo gbura, a Adam buł synam bziydnych luterokōw.

Na ziosna w tysiōnc łosiōmset siytōmdziesiōntam roku Adam mniot 20 łot i musioł jić do wojska. Bez to co buł leśnikam wzyli go do bataliōnu jęgrōw do Braniewa na trzy łata. Łostotny roz młode sia zidzeli jek Adam wyjydzōł do łōnygo Braniewa. Jek sia drugi roz trasili w swoji altance poziedzili sobie co bandō sia mniłować aż do grobu i posadzili do pospołu dwa maluchne dōmbki, coby rosty jek jych mniłowanie.

Zaro jek Adam przestōł być rekrutam wybuchła wojna pomniandyz Francuzami i Mniamcami. Psiyrszy Bataliōn Jęgrōw w noc z dwadziestygo łōsmygo na dwadziestygo dzieziōntygo jula tysiōnc łosiōmset siytōdziesiōntygo roku przemasyrowōł bez Braniewo na bonōf. Żolnierzōw żegnoł burgemejster i gwōłt Branieziookōw. Cugam pojychali bez Bydgoszcz do Berlina i potam dali do Francji. Pode drogō Adam wysyłōł swoji Yjwzie postkarty.

Bataliōn bziut sia pora razy z Francuzami. Nokrwawso buła jenōż przegrano bez Prusokōw bziwta pod Borny-Colombey sztyrnostygo łōgusta tysiōnc łosiōmset siytōmdziesiōntygo roku. Tamōj padło łosiōmdziesiōnt trzech jęgrōw z Braniewa i Adam tyż tamōj pomer.

Yjwa jek sia doziedziała co ji łumniłowany na wojnie pod, poszła do klasztoru

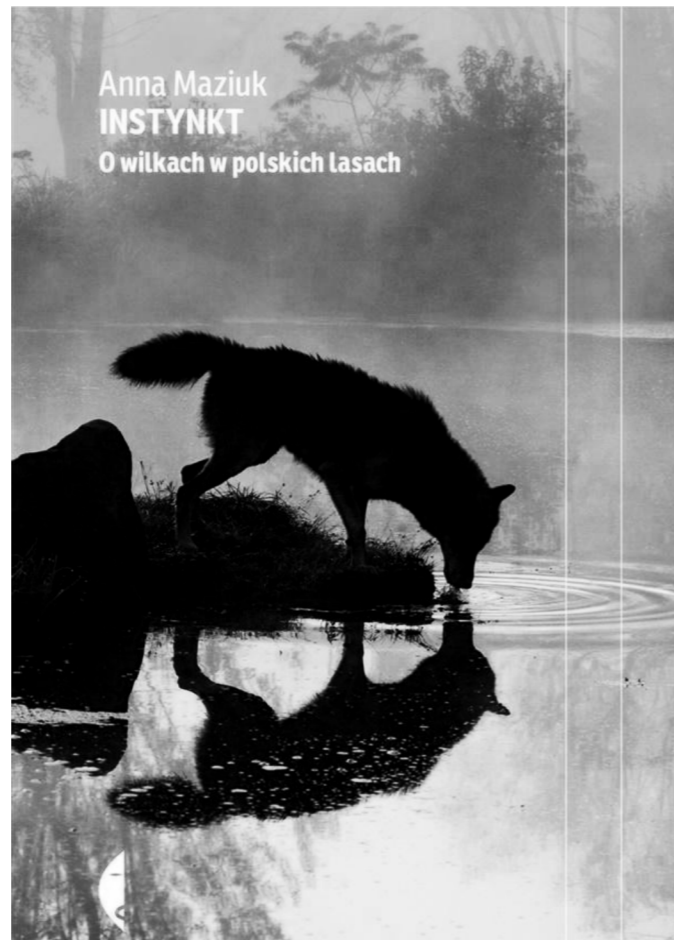
ANNA MAZIUK

## Wilcze szlaki

Wilki mają swoje ulubione ścieżki. Oczywiście mogą tylko przypuszczać, że tak faktycznie jest. Może chodzi po prostu o to, że są najkrótsze, najszybsze? Albo wyznaczają granice ich domu? Jedna wilcza rodzina potrzebuje dla siebie lasu wielkości Poznania. Tak średnio. Czasem większego, czasem mniejszego. Często potatane z mniej rozległych fragmentów. Z polem albo łączką, a nawet ludzkimi zabudowaniami pomiędzy. Wszystko zależy od tego, ile żyje tam jeleni, dzików, saren i innych zwierząt, na które szare drapieżniki polują.

Znajoma tropicielka opowiadała mi o obserwacjach terenowych dwóch wilczych grup. Tak się złożyło, że przesunęły się granice ich terytoriów. I nowa rodzina chadzała nieco innymi ścieżkami niż ta, która mieszkała tam wcześniej. Wydeptywała swoje połączenia, wyznaczała nowe, ważne punkty.

Bez względu na to z jakiego powodu – wilki często chodzą utartymi szlakami. My, ludzie, widzimy to po zostawionych na nich tropach, odchodach albo drapaniach ziemi. Wszystkich tych znakach mówiących obcym: „Tu jest nasz dom”. Bo jak większość zwierząt wilki chętnie korzystają z naszych leśnych dróg – wydeptanych, wyjeżdżonych, a dzięki temu łatwych do przemierzania. Nic dziwnego – można się nimi cicho skradać, bo nic pod łapą nie trzaska, żadne suche gałęzie, wyschnięte szyszki ani liście. Zimą nie ma tam tyle śniegu. I widać daleko, na przestrzał. Więc drapole, jak ludzie, często idą na łatwiznę. Zwłaszcza że ich codzienność lekka nie jest. Żeby coś zjeść, muszą się strasznie nabiegać i namęczyć. Zwykle konieczne jest podjęcie co najmniej kilku prób pogoni z zasadzkami. Szczególnie trudno jest im zimą, kiedy zapadają się w głęboki, biały puch. To jeden z tych momentów, kiedy długonogie stworzenia, na przykład jelenie, mają przewagę. Znowu – o wiele łatwiej skorzystać z ubitej ścieżki. A jednak czasem, kiedy z niej zbiegną i zagonią pędzonego zwierza na lód albo jakieś leśne grodzienie, przynosi to jeszcze lepsze efekty. Dlatego nawet w wilczym świecie oplaca się zbaczać, nie podążać stale tą samą drogą, choćby wydawała się oczywista i była prosta jak drut. Znana, scho-dzona w tę i w tę, wywieszona jak żadne, na przelaj, przez gęste chaszcze. Tyle że chodząc tylko nią, ominęłyby schowaną za drzewami skarpe, z której przecież tak pięknie można zgonić dużego zwierza. A nuż straci rytm, potknie się i wtedy



go dopadną. Wreszcie będzie czym nakarmić pięć albo sześć małych pyszczków czekających w norze, albo tych już podrośniętych, które wciąż jeszcze nieporadne same nie potrafią upolować kolacji.

Lubię iść za wilkami, choć szkoła mówi: idź pod trop. Ale przecież podążając starym śladem sprzed kilku dni, nikogo już nie spłoszę. Wędruję więc wpatrzona w ziemię, odkrywam, zgaduję, próbuję rozwikłać. Oczywiście, że rozglądam się również dokoła, patrzę w niebo, węższą jak dzika istota, bo zapachy w lesie dają mnóstwo podpowiedzi. Zachwygam się niejednoznacznością, sprytem i wszystkim tym, co one widziały. I ogromnie się cieszę, że żyję w miejscu i czasach, w których jest to możliwe.

ANNA MAZIUK – dziennikarka, propagatorka wiedzy o przyrodzie, pasjonatka tropienia i fotografii. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Publikowała m.in. w „Wysokich Obcasach”, „Polityce”, „Newsweeku Psychologii”, „Tygodniku Powszechnym” i „Zwierciadle”. Związana z fundacją i pismem reporterskim „Kosmos dla Dziewczyny”, w którym opowiada dzieciom o przyrodzie. Prowadzi autorskie warsztaty dla dzieci i dorosłych związane z tworzeniem, często inspirowane wyprawami w dzicz. Mieszka na Warmii. Jej książka reporterska na temat relacji wilków i ludzi *Instynkt. O wilkach w polskich lasach* ukaże się 13 października 2021 nakładem wydawnictwa Czarne.

<https://czarne.com.pl/katalog/ksiazki/instynkt>

KATARZYNA GUZEWICZ

## Filmowe podróże do celu

„Czym ty jesteś, ja byłem, czym ja jestem, ty będziesz...” mówi stary ojciec do bohatera filmu *1408*. Od razu mam dreszcz na plecach. I to nie tylko z tego względu, że to straszny film, ale też dlatego, że ta sentencja często pojawia się na nagrobkach. Myślałam ostatnio sporo o filmach, które zrobiły na mnie wrażenie. I nagle olśnienie! Przecież droga to zmiana, ścieżka głównego bohatera (lub bohaterki) do stania się tym, kim ma się stać. Nie musi to być podróż sensu stricto: taka z bagażem, w kapeluszu (nie wiem, czemu ten kapelusz tak kojarzy mi się z podróżowaniem) i pokonywaniem kilometrów. I tu dygresja: droga na działkowy weekend. Moim instagrawowym ideałem byłoby wybranie się z butelką wina, gitarą i rozwianym włosom. Rzeczywistość: kocyk dla psa, ręcznik dla psa. Dwie szczotki dla psa. Jedzenie suche, mokre i ciasteczka dla psa. Trzy paczki chipsów dla nas. Makaron, pomidory (bo coś jednak trzeba zjeść). Przecier pomidorowy, słoik oliwek. Papier toaletowy, krem z filtrem. Laptop. Farba, impregnat (do malowania domku). Nożyce ogrodowe (świeżo kupione). Strój kąpielowy. Trzy wielkie torby.

Na szczęście drogę można przebyć w umyśle. I może to być podróż łatwa, z górki. Może to być też jak mozolne pokonywanie Orlej Perci w Tatrach. Może być pełna zapierających dech w piersiach widoków jak w filmie *Midsommar*. W biały dzień. Piękna z pozoru. Zresztą tam też mamy do czynienia z przemianą bohaterki. Ze strauatyzowanej dziewczyny z poczuciem winy w osobę mającą oparcie w otoczeniu. Dyskusyjne jest, czy to zmiana pozytywna... Ale nie mogę pisać za dużo, bo może ktoś jeszcze nie oglądał, a warto. Dość ciekawym sposobem pokonywania drogi przez demoniczną siłę jest „przekakiwanie” z osoby na osobę przez stosunek seksualny w filmie *To za mną chodzi*. Jakkolwiek by to niepozownie brzmiało, film jest wart obejrzenia chociażby z powodu elektronicznej, niepokojącej ścieżki dźwiękowej. Czego chce filmowy demon? Tego nie wiadomo. Dość wspomnieć, że wprowadza niezłe zamieszanie wśród młodzieży. Sam pomysł nasuwa

skojarzenia z chorobami przenoszonymi drogą pociową i w średnio zawaolowany sposób głosi pochwałę czystości cielesnej. W filmie bohaterowie jadą razem szukać genezy demona. Bo ta wiedza mogłaby dać im przewagę w potyczce. Znaczenie ma też droga samochodem na plażę Santa Cruz bohaterów *To my*. Z pozoru niewinny rodzinny wypad staje się początkiem dziwnych i strasznych rzeczy. Droga do potencjalnych teściów ma też znaczenie dla bohaterki *Może pora z tym skończyć* (książka i film). Jest okazją do prowadzenia błyskotliwych filozoficznych dialogów z chłopakiem. Jazda, choć z pozoru sielankowa, wywołuje również w nas poczucie dziwności, dyskomfortu, czujemy, że coś tu nie gra.

I tu znów można by przywołać początkowy cytat: „Czym ty jesteś, ja byłem, czym ja jestem, ty będziesz”. Zmianom podlegają wszystkie żywe istoty, a starzenie się jest podróżą. Koniecznie trzeba w tym miejscu wspomnieć serię slasharów *Droga bez powrotu*. Schemat wszystkim amatorom krwistych horrorów znany: oto zazwyczaj rozbawieni, niejednokrotnie nietrzeźwi, młodzi ludzie jadą na wycieczkę. Zachowują się tak, jakby w życiu nie widzieli żadnego horroru: wtażają do opuszczonego domu, zbaczają z trasy, kłócą się z mieszkańcami na stacji benzynowej. I co najważniejsze: ciągle się rozdzielają. A tymczasem w Wirginii Zachodniej już czekają na nich zmutowani kanibale, którym hałaśliwi turyści sami naiwnie wpadają w ręce. Na motywie podróży opierają się najlepsze slashery ostatnich lat: seria *Hostel* czy *Ruiny*. Zawsze następuje zderzenie radosnej turystyki z czymś złym. Wzorec ten sam, tylko scenografia się zmienia. Boy George powtarza za Lewisem Carrolllem: „If you don't know where you are going, any road will get you there” (“Kiedy nie wiesz, dokąd zmierzasz, żadna droga cię tam nie zaprowadzi”). Nie wydaje mi się, że w przedstawionych przypadkach wiedza by coś zmieniła. A może nawet byłoby lepiej, żeby droga nie zaprowadziła bohaterów tam, dokąd miała?

Rys. Iwona Bolińska-Walendzik

ANNA RAU

15/30

Odpalamy wehikuł czasu i przenosimy się do epoki średniowiecza. Stolica naszego regionu rośnie, kształtuje się, zaczyna być ważnym miejscem na mapie ówczesnej Warmii, choć jeszcze formalnie nie istnieje. I nagle pojawia się on: Iohannes de Leysen. Oto bezprecedensowy wywiad z jedną z najważniejszych osób w historii Olsztyna.

**Jan z Łajs (Johannes von Leysen) 1310-1388**

**locator (zasadzca) i pierwszy sołtys Olsztyna szlachcic**

**Jaki tytuł mogłaby nosić książka o moim życiu?**

*Ecce exiit in campum* (Wyszedł siewca w pole)

Wielki to zaszczyt dla mnie, jakoż o królach i świętych Pańskich księgi warto pisać, szlachetność i cnotę utrwać. Ale jeśliście taskawi tacy, tytuł podałem z całej skromnej duszy. Siewca, co ziarna rozsiał, obaczył w końcu, jak to, co małe, stało się wielkim. Z jednego człeka i kilku domów pod światłym przewodnictwem kanonii miasto zaczęło nad Ałną wzrastać.

**W poprzednim wcieleniu byłem...**

A o co chodzi? Herezja to jakaś.

**Gdybym mógł wybrać dowolną supermoc, byłaby to...**

Supermoc?!!! Łaski Pańskiej mi jeno trzeba. Dziwne te pytania.

**Gdybym rządził światem, moim doradcą byłby...**

Do jakiej to księgi?!!!

**Moja kariera w jednym zdaniu.**

Kazali, to założyłem miasto.

**Gdybym mógł zaprosić do współpracy kogokolwiek, wybrałbym...**

O, to ma jaki sens chociaż. Ekonomów uczciwych mi trzeba, kiepsko z tym obecnie. Niepoczcziwość rządzi światem. I architekci z wielkiego świata przydatni by mi bardzo byli.

**Gdybym miał teleport, na Warmii i Mazurach wciąż odwiedzałbym...**

Bramy (łac. *porta*) na myśli macie? Jeśli o to się rozchodzi, to planuję dwie wielkie bramy do miasta zbudować, aby myta pobierać. Wysokie, z czerwonej cegły,

z północy i południa wiodące. Ale to sprawa przyszłości, pewnie już nie mojej.

**Sztuka przez duże „S” czy street art?**

Paradni jesteście, jakem tutaj stoję!

**Ostatnia książka, którą zjadłem, smakowała jak...**

Co za nonsensy, już no doprawdy... Choć przynaję, łatwiej mi znaleźć czas na zjedzenie książki niż jej przeczytanie. Rachunki w mych rękach częstsze niżli modli-tewnik. Od czytania zresztą są księża i możni ludzie, co wiele czasu mają.

**Cisza dla mnie to...**

Odpcznienie dla duszy. Ciągłe troski przy mnie, odpowiedzialność wielka.

**Kolor mojej sztuki...**

Jam gospodarz, nie magister artis. Przecie jakbym był, to bym inszych do naszej katedry na robotę za niemałe pieniądze nie sprowadzał, a sam rękawy zakasał i ołtarze malował.

**Aby stworzyć coś wartościowego, powinno się...**

Zacne pytanie. Do młodzi szczególnie odpowiedź kieruję. Przemysłnemi bądźcie, dokładnemi w działaniach, poczcziwemi w postępowaniu. Nagroda będzie trwała.

**Najdziwniejszą rzeczą, jaką kupiłem przez Internet, jest...**

Przez co? Inter-net? Między siecią?! Sieciami się nie kupuje! A na łowienie czasu nie mam. Czasem w wolny dzień coś tam idę rano złapać w Aunie. Kupowana ryba nie tego, panie.

**Moim zdaniem za 20 lat zupełnie bezużyteczne będzie...**

20 lat ho ho. Prawie pół życia człeczego. Cokolwiek na świecie, z woli boskiej pewnie i raczej dalej będzie. A jeśli o krotochwile pytacie, to ja nowinek nieciekaw, nie znam odpowiedzi.

**Gdybym mógł ustanowić święto, to byłby to Dzień?**

Jakie kolejne święto?! Ludzie by tylko świętowali i nic nie robili. Jakbym świętował stare, nowe i inne święta, miasta by nie byto!!! Koniec konwersacyj!

W roku dwadzieścia-dwadzieścia świat stanął.

Był wczesny marzec. Pomimo naszych ostrzeżeń wnuczek mojej fantomowej prawie sąsiadki przyleciał na urlop do swojego *Heimatu* – tylko po to, aby posilić się przed całonocną podróżą powrotną w wypożyczonym pośpiesznie oplu. Miał dokładnie dobę na opuszczenie kraju, zanim jego granice miały zostać zamknięte na nieokreślony czas. W nocy spadł śnieg – bodajże pierwszy śnieg tej dobiegającej końca zimy. Nad ranem mój niemiecki sąsiad z paralelnego uniwersum w popłochu opuszczał rodzinną wieś swoich przodków. Patrząc na ośnieżoną elewację gospodarstwa agroturystycznego Zapiecek, ze zgrozą pomyślałam, jak bardzo ten młody człowiek dążył do tego, aby doświadczyć mitu założycielskiego ich nowego życia – życia, którego nie wybrały ani nie chciały, a które jednak przetarto sobie swój własny szlak gdzieś przeszło tysiąc kilometrów na zachód od Idzbarka.

Kiedy śnieg stopniał, tata – w maseczce chirurgicznej – przywiózł nam na tacze dwadzieścia pięć kilo ziemniaków. Pomachał zza furtki i krzyknął, że udaje się na dobrowolną kwarantannę, wszakże właśnie odjechali od niego goście z Niemiec i istnieje ryzyko, że jest nosicielem sprawcy całej tej sytuacji, która nosiła znamiona zapętlenia czasu i zakrzywienia czasoprzestrzeni. Zrobiło się cicho we wsi, czasami tylko radiowóz zawracał za naszym domem. Wujek Paweł ukisił kapustę.

Czułam, jak z każdym dniem moje łopatki rozluźniają się, a kregostup jest jakby troszeczkę dłuższy. Jadłam ziemniaki z kapustą i spałam. Dużo spałam, tak jakbym musiała odpocząć po długim, niekończącym się wysiłku. Czułam, że w końcu jest na to przestrzeń. Nawet samoloty przestały latać nad Idzbarkiem, a pod oknem tarasowym zamieszkała zajączek. Spał tam w środku dnia tak, jakbyśmy nie istnieli. Kiedy lasy przestały już być strefą zamkniętą, powoli zaczęłam się budzić. Ile to już czasu minęło od mojej ostatniej podróży za granicę? Pół roku. Kiedy ostatnio przeżyłam pół roku bez wyjazdów za granicę?

OLGA ŻMIJEWSKA

20-20

Od 1990 roku didaskalia mojego życia można by podpisać tytułem książki Glorii Steinem: *Moje życie w drodze*. Jako osoba dorosła mawiałam, że żyję w szpagacie – pomiędzy Niemcami a Polską, pomiędzy Warszawą a Idzbarkiem, pomiędzy językami polskim i niemieckim, pomiędzy metropolią a lasem. Teraz, trzydzieści lat później, wstałam – nie, nie z kolan, lecz ze szpagatu, który ciągnął w dwie strony i zdawał się rozrywać mnie na pół. Jedną nogą tu, a drugą nogą już tam. Pół serca tu, ale pół zawsze gdzie indziej. Wieczna tęsknota, ciągly niedoczas, stała świadomością tymczasowości miejsca i sytuacji. A jakby to było stanąć na dwóch nogach i stać? Tak postać sobie w bezruchu?

W roku dwadzieścia-dwadzieścia stanęłam i ja.

Zmęczona życiem emigrantki i warszawskiego stoika zwróciłam się ku sobie. To wtedy przyszła do mnie książka Maureen Murdock *Podróż Bohaterki*. Murdock, która jest psychoanalityczką jungowską, opisuje ścieżkę rozwojową kobiet, z którymi pracowała. Psycholożka zaobserwowała bowiem wspólne doświadczenia, powtarzające się schematy, rozterki czy trudności, o których mówią osoby socjalizowane do roli kobiet w społeczeństwach zachodnich. Charakterystyczne jest tu podążanie po szlaku spirali. Ten ruch nie jest linearny, lecz cykliczny. Podążając tą drogą rozwoju, pozornie wracam do punktu wyjścia, tyle że wracam tam bogatsza o przebyta drogą.

Gdybyśmy na mapie tego świata mogły ujrzeć przebyte przez nas drogi, ile to szlaków pokryłoby się? Ile razy spotkalibyśmy samych siebie? Czy spotykamy także tych, których jeszcze nie znamy, a którzy gdzieś za rogiem staną się nam bliscy? A gdybyśmy tak mogły nałożyć na siebie życia i przeżycia kilku generacji, ile i ilu z nas byłoby sąsiadami w różnych państwach? Czy stalibyśmy razem w kolejce po chleb? Ktoś orałby pole, na którym *Tante Edith* sadił las sosnowy, który ja przemierzam w drodze nad ulubione jezioro? To wszystko jednocześnie. Czy babcia Daniela, moja sąsiadka w innym uniwersum, ma właśnie taką perspektywę? A może to wszystko jest tylko i aż cyklicznym powrotem po szlaku spirali – po to, abym mogła powrócić bogatsza o przebyta drogą? I jeszcze raz, i w kółko tak samo, a jednak za każdym razem inaczej.





*end*



*start*



*love*